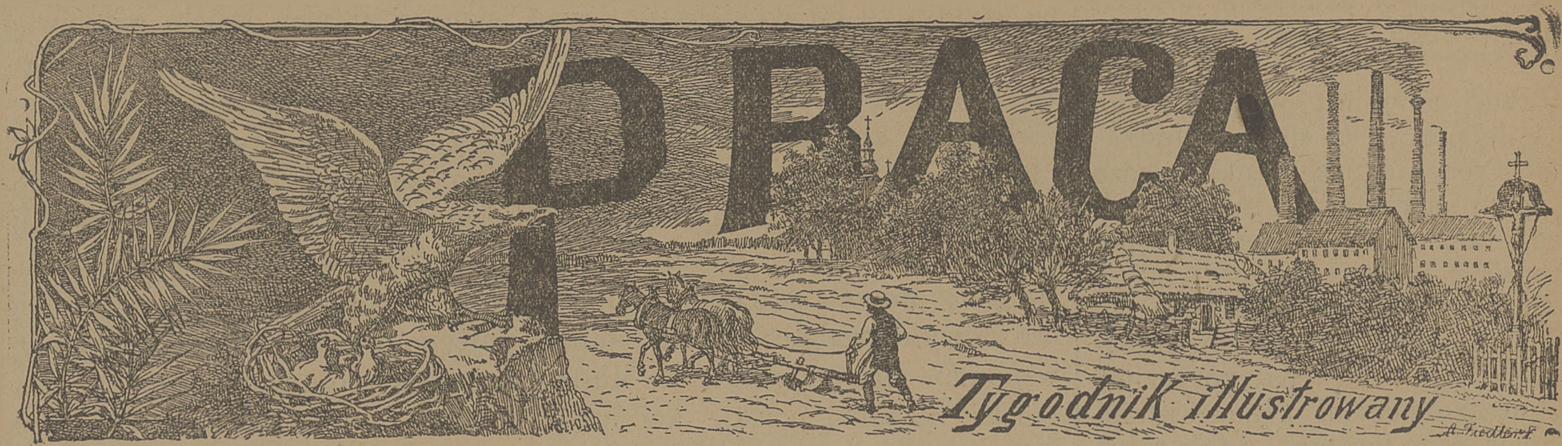
Nr. 27. Poznań, 30-go Czerwca 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę**; *na poczcie w Austro-Węgrzech* **59 cent.**
Pod opaską: *w Niemczech* **1,65 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **1 złr.**, *za Oceanem* **1 dolar.**
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

Do Czytelników „Pracy“.

Niedawno temu byliśmy wszyscy świadkami tego, jak na naszej ziemi, w prastarej siedzibie Przemysława, urządzili sobie rodzaj demonstracyjnego zjazdu Niemcy, przedstawiciele najwyższych sfer politycznych, urzędniczych, obywatelskich i kupieckich. Z założonemi rękoma patrzeć musieliśmy na to, jak właśnie, tu wpośród nas, chcieli się policzyć nasi wywłaszczyciele, — okazać nam potęgę swego fabrycznego i rolniczego rozwoju, — zaimponować, zdruzgotać nas swą liczbą, ogromem swych przedsiębiorstw i pochwalić się specyalną opieką władz państwowych.

Nie bez powodu Poznań obrano miejscem wystawy tegorocznej. Chciano nam powiedzieć: „Patrzcie, jacy my silni pod względem ekonomicznym i jak zorganizowani dzięki pomocy państwa — a wy, Polacy — co? Pokażcie się! Wstyd wam, upokorzenie was dusi? Dobrze tak jest właśnie, — bo musicie się ukorzyć“...

Tak ongi mistrz krzyżacki pokazywał wysłańcom króla polskiego zbrojne hufce zakonu i mówił: „Patrzcie, jaka jest nasza potęga! Patrzcie i ukorzcie się.“ —

Ta buta krzyżacka do dzisiejszego dnia przetrwała i z każdego kątka wystawy zdawało się wyglądać jakby wezwanie do nas: ukorzcie się!

Bo my jesteśmy narodem, który się nie korzy. Wiedzą o tem dobrze Prusacy i dlatego też pan minister finansów, dr. Miquel, w sejmie już i teraz na wystawie ponownie powiedział, że rząd chce utrwalić w tej prowincyi narodowościowy pokój. A jeden z Polaków wtedy szyderczo, lecz trafnie dodał, że ten pokój, do którego Prusacy dążą — to cmentarny pokój, to pokój taki, do jakiego dążyli osadnicy europejscy w Ameryce, ogniem i mieczem, podstępem i gwałtem tępiąc odwiecznych właścicieli i mieszkańców rozległych państw w Ameryce. I wreszcie zapanował pokój — z chwilą, gdy ostatni z dawnych mieszkańców połączył się z przodkami.

Do takiego pokoju narodowościowego dążą Prusacy. Dlatego też właśnie szczególniejszego znaczenia nabierają te słowa ministra pruskiego, wyrzeczone publicznie w chwili otwarcia wystawy w Poznaniu. „*Rząd chce tu mieć pokój*“ — — to znaczy: wyrzeknijcie się waszej narodowości, przestańcie być Polakami, ukorzcie się, a jeśli nie, to biada wam; będziecie zgnieceni, zmiażdżeni, wzięci w takie tryby, które was nareszcie przekształcą. I w dumnem poczuciu swej siły okazały nam Prusy właśnie na naszej ziemi swą potęgę konkurencyjną, jakby mówiąc: „Oto jest siła, która was zmiażdży i strawi, która z was zrobi to, czego sobie życzy rząd. Nie probujcie nawet stawiać oporu, bo nie macie nic, czembyście się obronić mogli. My jesteśmy bogaci i silni — wy, Polacy, jesteście słabi i ubodzy“.

Prawda. Jesteśmy ubodzy i słabi. My, jak Prusacy, nie tuczyliśmy się krwią znękanych ludów, dlatego nie jesteśmy bogaci, tak jak oni, ale mamy czystą przeszłość za sobą. Ale ta czysta i nieskalana przeszłość nasza, z której, jak z niewyczerpanej krynicy płynie przywiązanie do ojczystych zagonów, ta przeszłość nasza — to też bogactwo. I jeśli tym zaborczym planom pruskim i wszelkim zamachom na naszą narodowość cośkolwiek przeciwstawić możemy, to nic innego, jak tylko ową wysoko rozwiniętą miłość Ojczyzny i przywiązanie do swej narodowości, jakiem się żaden naród, żadne państwo poszczycić nie może. Naszem największem bogactwem, na które z dumą wskazać możemy wrogom, w odpowiedzi na ich groźby, jest patryotyzm, który ożywia serca naszych obywateli. On to jest bronią, którą odeprzeć możemy wszelkie zamachy przeciw nam wymierzone; on to jest zaporą, o którą muszą się rozbić złowróżbne plany zaborców. Jeśli oni nam grożą, a grożąc wskazują na swą potęgę militarną i ekonomiczną, *to my wskażmy im na nasz patryotyzm.* Te dwie siły, gdy się zmierzą, czyż może być wątpliwem, po której stronie będzie zwycięstwo?

Gdy więc ten patryotyzm jest siłą i dźwignią przyszłości naszej, gdy jest bogactwem, którego nam nikt nie zagrabi, *starajmyż się więc krzewić patryotyzm, pomnażać to bogactwo!*

Widzimy, jak niespokojnem, a zazdrosnem okiem spogląda rząd na każdy objaw budzącego się patryotyzmu u ludu polskiego, — rząd wie, że wobec tego przeciwnika sprawę swą przegrał.

Nasz lud, nasze całe społeczeństwo,

wszystkie klasy powinny się tym patryotyzmem przejąć: budzenie ducha narodowego jest zadaniem, do spełnienia którego wszyscy są powołani.

Przed nami jest jeszcze rozległe pole pracy; są sfery, są ludzie, do których nie przeniknął jeszcze ten ogień patryotyzmu tak, aby ich serca przekształcić na oddane społeczeństwu i Ojczyźnie.

Gazety polskie są w obecnem położeniu naszemi najlepszymi przedstawicielami idei patryotycznej, najskuteczniejszymi krzewicielami poczucia narodowego. Jako takie spełniają one najszczytniejsze posłannictwo, najświętszą służbę narodową. *Nie znamy wyższego, świętszego celu nad krzewienie uczuć narodowych wśród ludu.* Dlatego też każdy obywatel kraju, każdy wierny syn Ojczyzny *powinien popierać pisma polskie, zjednywać im czytelników, przyczyniać się we wszelki sposób do ich rozwoju.*

Tylko w ten sposób możemy dać godną odpowiedź tym, coby nas chcieli zmieść z oblicza ziemi.

Przypominamy o tem wobec rozpoczynającego się kwartału. Niniejszy numer „Pracy“ jest ostatnim w bieżącym kwartale.

Redakcya.

Proces o szczerość.

W dniu pierwszym kwietnia ukazał się w „Pracy“ artykuł, zatytułowany „Lojalni i wierni poddani“, zawierający myśl przewodnią, że nie godzi się przed wrogiem zapierać się uczuć i przekonań, które on sam postępowaniem swojem względem nas budzi w naszej duszy. Autor artykułu, odczuwający głęboko krzywdy, wyrządzane polskiemu plemieniu, a mający takie serce polskie, co to nie umie przekształcić się odpowiednio do politycznego nacisku, żądał zgodności uczuć i słów od swoich rodaków, żądał też, ażeby ta harmonia objawiała się w mowach posłów naszych w Berlinie. Zkądże lojalność lub wierność żywić mamy w łonie swojem? tak wołał głosem szczerości; zkąd i za co? „Czy za to, że nie dochowano wobec nas przyrzeczeń zaprzysiężonych słowem królewskiem? Czy za to, że język nasz wyrugowano ze szkoły, że go wyklęto z urzędów i sądownictwa? Czy za to, że nas *„rugują“* z ziemi ojców? Czy za to, że przesiedlają naszych urzędników w głąb Niemiec, nasz kraj prowadzą do ruiny zamknięciem granic dla robotnika polskiego z innych dzielnic?“... Temi oto słowy dowodził p. Vester, autor wspomnianego artykułu, że dusza polska, że serca polskie ani lojalnością ani wiernością przejętemi być nie mogą! A jeśli tak, to czyż wolno udawać i kłamać, a tem samem poniżać się wobec nieprzyjaciela, który już sam, choć nie prawem moralnej przewagi, to prawem siły nas poniża?!

Gdy niektóre dzienniki polskie i posłowie polscy, niepomni goryczy, jaką ustawy i rozporządzenia antypolskie przepełniły narodowego naszego ducha, niepomni nienawiści, zaszczepionej przez samego wroga w sercach naszych, składają przed upośledzającą nas siłą wyrazy lojalności — i wierności — wtedy wróg sam, czujący dobrze, iż ani kochać go ani mu ufać nie możemy, śmieje się śmiechem nieludzkim i krzyczy, że to nie prawda! A gdy uczciwie myślący autor wypowiada otwarcie to, co czuje i czuć musi ogół Polaków, wtedy śledztwo, proces i więzienie!

Pan Vester, ogarniając okiem Polaka to, co wokoło nas, na ziemi odwiecznie naszej się dzieje, nabrał przeświadczenia, iż „Niemcy *rugują* nas z ziemi ojców“ i to przeświadczenie wyraził w toku otwartego swego rozumowania. — Wywodom jego towarzyszyła wiara, że konstytucya pruska zastrzega każdemu obywatelowi wolność zdania i słowa, a zastrzega w imię tej idei, że nieprawe ukrywanie przekonań, że wykłamywanie uczuć nieistniejących, że krępowanie swobody słowa i krytyki tamuje postęp, paraliżuje rozwój cywilizacyjny i wpiera ducha wstecz — w szranki średniowiecznej niewoli.

Prokurator zaczepił wyrażenie „rugują nas z ziemi ojczystej“ i dowodził w terminie czwartkowym, w którym proces przeciwko redaktorowi „Pracy“, p. Siemiątkowskiemu się rozegrał, że odnosić się to może tylko do komisyi kolonizacyjnej, która trybem dobrowolnej sprzedaży lub też subhasty dobra wykupuje; ponieważ zaś wyraz „rugować“ zawiera w sobie pojęcie „gwałtownego wypierania“, przeto zastósowanie jego do działalności komisyi kolonizacyjnej „ją zohydza“, a więc jest wykroczeniem przeciwko paragrafowi kodeksu karnego „o podawaniu w pogardę“ instytucyi państwowych.

Obrońca, p. mecenas Bernard Chrzanowski w trafnej swej, na głębszych zasadach opartej i ze szczerych przekonań wypływającej argumentacyi wykazywał mylność powyższych zapatrywań. Powołując się na zdanie takiej powagi, jak p. dr. Brückner, profesor wszechnicy berlińskiej, zbijał twierdzenie, jakoby wyraz „rugować“ określał czynność gwałtowną — pojęcie wprowadzone do niemieckiego przekładu artykułu przez sądowego tłomacza. „Że zaś komisya kolonizacyjna istotnie usuwa żywioł polski z gleby rodzinnej — temu chyba nikt nie zaprzeczy!“ — „Wszakże instytucya ta — tak mniej więcej brzmiały wywody obrońcy — wykupuje ziemię, na której Polacy są tubylcami, *ażeby ją rozprzedać tylko pomiędzy Niemców, wszakże wieśniak polski jest wyklęty z prawa nabywania kawałów tej ziemi od komisyi kolonizacyjnej wszakże nawet niemieckim nabywcom nie wolno sprzedawać nabytych włości nikomu, kto się Polakiem mianuje?*

A czyż to nie usuwanie z ojczystego zagonu? Czyż działalności komisyi kolonizacyjnej nie cechuje chęć wydziedziczenia polskiego żywiołu? Niechaj nie forma, jeno treść będzie rozstrzygającą. *„Nie chodzi o przenikliwość policyjną w dociekaniu ostrego znaczenia wyrazu, jeno o istotne jego, kardynalne pojęcie i o wyrok sprawiedliwy trybunału.*

Po tej obronie sędziowie udali się na naradę przeszło półgodzin-

ną. *Wynikiem jej było zasądzenie redaktora Siemiątkowskiego na dwumiesięczne więzienie.*

Wyroków sądowych krytykować nie wolno! Niechże więc czytelnicy nasi sami powiedzą, co bardziej rozdrażnia i zniechęca do instytucyi państwowych, czy artykuły „Pracy“ głoszące prawdę uczuć i przekonań narodu, czy też wyroki surowe?

Narodowiec.

Daremne próby.

Półurzędowy organ ministeryalny *„Berliner Politische Nachrichten“* ogłasza następujący komunikat w sprawie polskiej:

„Niebezpieczeństwo dalszej polonizacyi i dalszego wypierania niemczyzny z pruskich kresów jest wielkie i potrzeba koniecznie *szybkiego* zaradzenia złemu. Jest to nieodzownym obowiązkiem państwa pruskiego i rządu, aby *pełną siłą* rozpocząć wielkie dzieło skutecznej obrony i utrzymania niemczyzny w dzielnicach wschodnich i przeprowadzić je w trwałej systematycznej pracy. Żadna ofiara nie powinna wydawać się zbyt wielką na ten cel ważny. „Cała osobista i finansowa siła państwa i jego organów musi mu być oddana; *ale i lud niemiecki musi pamiętać o tem, że tu chodzi o jego sprawę* i odpowiednio do tego całemi siłami popierać i krzewić politykę Prus dla zachowania niemczyzny na kresach wschodnich. Tylko tym sposobem można powstrzymać i powstrzyma się szerzenie polskości w niemieckich okolicach i wśród ludności niemieckiej, a wschodowi utrzyma się kulturę niemiecką. Pruskie ministerstwo stanu zajmowało się w ostatnich czasach temi sprawami bardzo szczegółowo“.

Po przeczytaniu tego tajemniczego dokumentu, z którego by można wnosić, że ministerstwo stanu odkryło nowy środek tępienia Polaków, lub przekształcania ich za pomocą czarnej magii w rodowitych wszech-Niemców, nasuwa się przedewszystkiem uwaga, że widocznie w ostatnich czasach ministerstwo pruskie miało bardzo mało do roboty, skoro się zajmowało temi sprawami. Pruskie ministerstwo stanu nie dorosło bowiem do tego, aby swemi projektami mogło w czemkolwiek zachwiać egzystencyę narodu i społeczeństwa, które żyje i na długo jeszcze ma w sobie zapas sił życiowych. Pruskim ministrom widocznie się zdaje, że gdy podczas swych obrad przy zielonym stole większością głosów postanowią, aby z „prowincyi wschodnich“ usunąć polskość, to już będzie usunięta. Równie dobrze mogli postanowić większością głosów, aby Wisła wstecz płynąć zaczęła. Mają widocznie dużo czasu, niech się więc bawią: nam to nic nie zaszkodzi, a ich postanowienia w niczem położenia rzeczy nie zmienią. Losy narodowości polskiej w Prusach zależą od niej samej, a nie od ministrów. Tych zapowiedzi *„szybkich i skutecznych środków, zastosowanych całą siłą“* przeciw Polakom, samo chyba szanowne ministerstwo na serjo nie bierze. Komunikat jest raczej obliczony na to, aby wywołać wrażenie, że w ministerstwie ogromnie pracują nad rozwiązaniem bieżących kwestyi.

Kto tylko śledzi wewnętrzną politykę Prus od czasu objęcia rządów kanclerza Hohenlohego, jako firmę dającego, a ministra Miquela, jako kierownika, ten bez wątpienia zauważyć musiał, jak mało powagi posiada ministerstwo to wobec sejmu, a co za tem idzie, i wobec niemieckiego społeczeństwa. Za długą byłaby litanja, gdybyśmy chcieli wyliczać wszelkie niepowodzenia i porażki, jakich to ministerstwo doznało przy swych rozmaitych niefortunnych projektach. Wspomnimy tylko podwójną porażkę przy t. zw. „ustawie przewrotowej“ i „kagańcowej“, dalej przy ustawie o stowarzyszeniach, wreszcie o projekcie kanałowym. Z powodu tych wszystkich porażek, które ściągnęły na rząd zarzuty braku energii, bierności i niezdecydowania, upadła powaga ministeryalna ogromnie; dla podniesienia jej więc mądry pan Miquel od czasu do czasu wysuwa na pierwszy plan projekty antypolskie; zauważono już bowiem, że takie projekty prowadzą dziś do popularności, zyskują poparcie większości sejmu a wreszcie jednają aplauz towarzystw hakastycznych — jednem słowem podnoszą powagę ministerstwa do właściwego poziomu. Dlatego też coraz częściej rząd występuje z projektami antypolskiemi, bo na tem polu spotyka się z pochwałami a przytem może się wykazać, że przecież coś robi „dla dobra pruskiej ojczyzny“.

Pojawiające się jednak coraz częściej projekty antypolskie świadczą, że widocznie bardzo gwałtownie potrzeba ministerstwu tego wzmacniającego powagę środka. Już przy powiększeniu funduszów komisyi kolonizacyjnej okazało się jednak, że jakoś trudno wpaść na nowe projekty — dlatego też poprawną edycyę starych projektów w świat puszczono. I teraz zapewne pod bombastyczną zapowiedzią *energicznej, szybkiej i silnej akcyi* nie kryje się nic politycznego, chyba — kłopot, jaki by tu wymyślić projekt, za pomocą którego odrazu by można było kwestyę polską utopić w powodzi paragrafów wywłaszczających. Łatwiej zrobić zapowiedź akcyi, niż akcyi tej właściwy nadać kierunek.

Sam zresztą apel do ludności niemieckiej (za który, mówiąc nawiasem każdy redaktor polski dostałby się za kratki *„wegen Aufreizung der Bevölkerungsklassen gegeneinander“*, gdyby do Polaków podobny apel skierował) sam apel ten świadczy, że rząd we własne siły i w skuteczność swych tajemniczych projektów nie wierzy.

W rzeczy samej, rozważmy tylko rozmaite możliwości, któreby mogły doprowadzić Prusaków do pożądanego celu t. j. do zupełnego zgniecenia Polaków.

Za pomocą zgwałcenia konstytucyi możnaby przeprowadzić prawo, zabraniające Polakom nabywania ziemi w Poznańskiem, Prusach i na Śląsku.

Za pomocą takiegoż pogwałcenia możnaby ustanowić wyjątkowe prawa dla prasy polskiej, aby podciąć jej byt i wpływy.

Za pomocą zakazu wpuszczania polskich robotników możnaby osłabić dopływ Polaków z innych dzielnic.

Czy te środki okazałyby się skuteczne? Wymieniliśmy trzy możliwości najostrzejszych, poprostu nieprawdopodobnych projektów, aby się przekonać, czego w takim razie moglibyśmy się spodziewać. Uważamy je za najostrzejsze, bo wątpimy, czyby ministrowie uchwalili, aby np. ludność niemiecka powiększała się szybciej niż polska, albo, aby po rodzicach Polakach dziedziczyli Niemcy, a nie dzieci polskie.

I cóżby się więc stało w tym najgorszym razie? Zakaz nabywania ziemi spowodowałby tylko silniejszy wzrost elementu polskiego w tych gałęziach, które dziś zamało są ożywione: w handlu i w przemyśle drobnym i fabrycznym, Na rolnictwo i tak się już nie oglądamy i nie robimy sobie iluzyi, że

nasza wielka własność przetrwa zwycięzko te ciężkie próby. A nasza drobna własność trzyma się ziemi i zakaz nabywania nie wpłynąłby na zmniejszenie stanu posiedzenia.

Co do podcięcia wpływów pism polskich, to możemy zapewnić panów ministrów, że zaprowadzenie cenzury lub podobnych średniowiecznych instytucyi możliwe jest w razie, gdy społeczeństwo pod względem oświaty i czytelnictwa ludowego jest zacofane. Gdzie czytelnictwo jest rozpowszechnione, tam żadne zakazy nie pomogą. Przed rokiem 1848, za czasów ostrej cenzury pism polskich, w tysiącach się rozchodziły po Księstwie pisma drukowane w Paryżu i Londynie. Dlaczegożby w setkach tysięcy nie miały rozchodzić się dzisiaj, drukowane za obrębem tych wyjątkowych praw?

Co do niewpuszczania robotników polskich do Prus — to radzimy rządowi, niech spróbuje. Zwłaszcza teraz pora po temu, gdy niemieccy rolnicy dzwonią zębami ze strachu, aby Rosya czasem nie zamknęła granic swych emigrującym do Niemiec robotnikom polskim.

Wobec tego właśnie dobrze im w gust utrafi rząd pruski, ze swej strony zamykając granicę. Koszta tej próby może rolnictwo niemieckie opłacić — jest dość bogate, obawiamy się tylko, że rychło by sprezentowało likwidację swą tak dbałemu o jego dobro rządowi.

Tak więc nie bez ciekawości, a w przekonaniu niezawodnego koniecznego rezultatu, oczekujemy, w jaki sposób wywiąże się ministerstwo z swej zapowiedzi górnobrzmiącej.

Niech sobie nie robią niepotrzebnych złudzeń berlińskie ekscelencje: siła naszego społeczeństwa nie spoczywa ani w roli, ani w towarzystwach, ani w gazetach, ale w tem, co jest nieuchwytne i co pod paragrafy podciągnąć się nie da: w naszym przeciętnym pracowitym oszczędnym, mającym małe wymagania, a gorącą miłością Ojczyzny przejęte serce *obywatelu.* O ten pancerz rozbijają się wysiłki germanizacyi. Komu to przyjemność sprawia, może nawet w ten sposób order lub wyższą rangę dostać — ale do celu nie dojdzie.

Kazimierz Radwan.

Setna rocznica urodzin dobroczyńcy.

Wdzięczność jest największą ozdobą duszy, zarówno jednostki jak całych narodów. Tylko człowiek szlachetny zdolny zachować pamięć dobrodziejstwa; tylko naród dojrzały i świadom wielkich ludzkich ideałów, zdolny czcić swoich zasłużonych synów. Rzec też można, że ta zdolność jest zarazem najlepszą miarą podnoszenia się lub obniżania ogólnego poziomu moralnego i uczuć narodowych.

Nader więc pocieszającym objawem była sobotnia skromna, ale wielce podniosła uroczystość, urządzona staraniem Towarzystwa Pomocy Naukowej, ku uczczeniu pamięci jego założyciela. Głęboką, nigdy niewygasłą wdzięcznością przejęte, całe nasze społeczeństwo, całem sercem połączyło się z tymi, którym okoliczności pozwoliły osobiście złożyć hołd prawdziwej zasłudze, hołd taki, na jaki nas stać było w obecnych warunkach,

W sobotę, dnia 23-go czerwca, tj. w dniu setnej rocznicy urodzin odbyło się żałobne nabożeństwo, w tym samym kościele św. Wojciecha, w którym przed 100 laty Karol Marcinkowski ochrzcony został, co przypomina wszystkim tablica pamiątkowa na zewnętrznej ścianie kościoła umieszczona. W obchodzie wzięła udział licznie zebrana publiczność przeważnie ze sfer inteligencyi, z której niejeden wykształcenie swe ma do zawdzięczenia wielkiemu dobroczyńcy. Liczne i piękne wieńce były wymownym wyrazem uczuć, jakie zawsze w sercach naszych budzić będzie wspomnienie czynów tego człowieka, które dziś należy tu przypomnieć i rozważyć.

Dnia 23-go czerwca 1800-go r. urodził się w Poznaniu Karol Marcinkowski wśród niezamożnej małomieszczańskiej rodziny, ale przez troskliwą i skrzętną matkę starannie wychowany z pomocą szlachetnych i zamożnych ludzi, odebrał wyższe wykształcenie i został lekarzem.

Umysł i serce jego od razu tylko dla dobra ogółu zaczęły pracować, poświęcając sprawom ojczystym i społecznym wszystko, a zapominając zupełnie o swej własnej osobie — żył li dla Ojczyzny! On może nie pierwszy, który spostrzegł — boć mieliśmy przed nim Kołłątaja, Tyzenhauza, Staszyca, ks. Lubeckiego, ale pierwszy, który pod zaborem pruskim, widząc tak wielki brak stanu mieszczańskiego w łonie narodu i brak szacunku dla pracy mieszczańskiej, jawnie wystąpił i zorganizował środki, aby błędy wiekowe naprawić.

Ponieważ najpierw szło o dobro ogółu, a nie o wyniesienie się swej osobistości, bez szumnych haseł w cichości przybrawszy do wspólnej pracy duchowieństwo i kierujący wtenczas sterem narodowym możny stan szlachecki, z miłością i cierpliwością rozpoczął swoje dzieło odbudowania z ruin wiekowych gmachu społecznego w narodzie, aby zapełnić szczerbę stanu mieszczańskiego.

To była główna kierownicza myśl jego zamiarów i czynów, dla niej żył i z nią umarł spokojnie, bo wiedział, iż myśl w czyn wprowadziwszy, poddźwignął tem przyszły byt i życie narodowe.

Pomimo że Karol Marcinkowski wprowadzał nowe prądy w społeczeństwo, nie burzył od razu przeszłości, nie rozpoczynał walki na śmierć z dawnemi przesądami i ich kierownikami, lecz odwołując się do ich uczuć miłości Ojczyzny, przezornie i w ciszy przy pomocy duchowieństwa i szlachty siał i budował obecnie rozwijający się stan mieszczański.

Umysł trzeźwy tego męża stanu nie wierzył w nagłe przewroty polityczne, nie łudził się nadziejami spiskowo-rewolucyjnemi, które wtenczas panowały w społeczeństwie. — Przeciwnie, w pracy, w oszczędności i w oświacie widział jedyny ratunek dla kraju.

Jednakowoż, gdy większość narodu porwała za oręż, by wywalczyć niepodległość w listopadowem powstaniu — milcząco poszedł spełnić święty obowiązek bronienia Ojczyzny.

Mimo wpływu i uznania, jakie już sobie zdobył, nie dobijał się podczas wojny o wyższe dostojeństwa, przeciwnie obniżał swoje stopnie i jako prosty żołnierz walczył dzielnie w szeregach.

Co to za przykład dla obecnego pokolenia i jego przewodników! Praca spokojna bez chełpliwości, miłość i słodycz dla wszystkich zjednały mu nie tylko cześć i szacunek w całym kraju, lecz nawet uznanie nieprzyjaciół naszych i sfer rządowych.

Wszystkie braki społeczne on odczuwał na ziemiach naszych i starał się takowe uzupełnić przez tworzenie odpowiednich stowarzyszeń.

Wszystkie stowarzyszenia, jakie mamy dzisiaj, albo pierwszy zawią-

zywał, albo nawoływał do ich wprowadzenia w życie.

Szanował przekonania religijne innych i sam był nawskroś religijnym. — Pomimo tego, że sam jako lekarz, znał kierunek niedowiarstwa, który rozpoczął na podstawie badań fizyologicznych, przeczyć najszlachetniejszym zasadom ludzkości i wątpić o życiu pozagrobowem — Marcinkowski wierzył w Boga i w dobroć Boską, Oto co pisze w roku 1842:

„*Boże daj,* bym zupełnie potrafił zapomnieć o sobie; bym wyrzeczeniem samego siebie doszedł do owej doskonałości, jakiej Zbawiciel świata po zwolennikach swej nauki wymagał.

„*Boże daj,* by mi chęć pełnienia moich obowiązków nigdy nie zastygła.

„*Boże daj,* aby pomiędzy nami na silnej podstawie, miłości bliźniego wzrosło w błogie dla ludzkości i w owoc płodne drzewo *równości bratniej.*

„Oświata i praca, użyteczna towarzystwu ludzkiemu, oto są środki do utorowania potrzebnego gościńca. Zachęcajmy się wzajemnie, działajmy na drugich, na młodszych, na mniej szczęśliwych od nas Braci, ażeby przyszłe pokolenie do szczęśliwszej przyszłości usposobić, ażeby w nich ugruntować tę godność człowieczeństwa, bez której wszystkie zabiegi zaginą, jak płonne marzenia".

Przeszło pół wieku minęło od wymarzenia tych słów! Wiele zamiarów Marcinkowsklego się ziściło, a wiele się ziszczać zaczyna. — Szlachetny zasiew nie popadł na opokę!

Zasady zaszczepione przez tego wielkopolskiego męża stanu, niech nadal będą kierownikami społeczeństwa naszego.

Charakter jego niech będzie przykładem dla obecnych sterników życia narodowego.

Wspomnienie Karola Marcinkowskiego niechaj będzie łącznikiem braterstwa wśród powaśnionych stronnictw.

Chociaż dzisiaj równe uprawnienieniem i braterstwem zatarły się odrębności społeczne, to dla dziedziny przemysłu i handlu Karol Marcinkowski ma wyjątkowe znaczenie.

Był on kierownikiem całego społeczeństwa i myśl przewodnia, którą stworzył, do dnia dzisiejszego włada nad nami i króluje.

Nie urodził się on w magnackich lub szlacheckich komnatach, nie był księciem Kościoła, a mimo że pochodził z biednego stanu mieszczańskiego, stanął na czele życia narodowego.

Ponieważ podstawą jego czynów była miłość Boga, Ojczyzny i bliźnich, wszystkie stany usłuchały rad i nawoływań Jego! Nie zapierał się swego pochodzenia i dlatego powinien być dumą i przykładem dla kół mieszczańskich!

Spełniając nasz obowiązek obywatelski w dziedzinie dziennikarskiej, przypominając wszystkim w dniu setnej rocznicy urodzin Jego zasady i zasługi, wzywamy równocześnie ludzi dobrej woli, aby rozszerzali życiorys Karola Marcinkowskiego pomiędzy rozrastającem młodem pokoleniem.*) Życiorys ten opracowany jest i wydany dla ludu i młodzieży wraz z dziejami Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego on był założycielem.

Życiorys Karola Marcinkowskiego niech będzie pochodnią postępu życia narodowego, pobudką do pracy w kierunku społecznym, a przyszłość uwieńczy tak samo nasze usiłowania jak my wieńczymy zasługi Karola Marcinkowskiego. Cześć mu! Cześć Jego błogosławionej pamięci.

23. IV. 1900. *X.*

*) Polecamy usilnie Czytelnikom książeczkę radzcy Zielewicza w Poznaniu p. t. „Żywot i czyny Karola Marcinkowskiego.

Dr. Karol Marcinkowski.

(W setną rocznicę jego urodzin.)

W zupełnej ciszy, niemal lękliwej, minął w ubiegłą sobotę jubileusz, któryby w szczęśliwszem od nas społeczeństwie obchodzono zapewne bardzo głosno, bardzo dumnie, bardzo uroczyście. Była to bowiem setna rocznica urodzin męża prawdziwie opatrznościowego, który narodowi swemu wskazał najlepszą, najpewniejszą i najprostszą drogę tak do odrodzenia, jak i do ocalenia się przed grożącą mu zewsząd zagładą, którego zatem rodacy uważać muszą za jednego z największych dobroczyńców swoich. Wystarczy, gdy powiemy, że była to rocznica urodzin *Karola Marcinkowkicgo,* twórcy „Towarz. pomocy naukowej." — gdyż najpopularniejsza ta instytucya nasza uczyniła także nazwisko swego twórcy popularnem. Więc nie ulega wątpliwości, że gdzieindziej uczczonoby męża takiego w taką rocznicę pomnikiem lub pomnikami, uroczystemi zebraniami, bankietami i mowami; że byłaby powstała prawdziwa literatura poświęcona wyłącznie jemu, jego życiu, czynom oraz ideom. A u nas co? Msza uroczysta, zakupiona w jednym z kościołów poznańskich za duszę Marcinkowskiego oraz kilka mniej lub więcej płytkich artykułów dziennikarskich — oto cały plon wdzięczności narodu dla niego w tej uroczystej chwili. Obcy sądzićby mógł z tego, że chyba wdzięczność ta nasza dla wielkiego dobroczyńcy nie jest wielka, że poczuwają się do niej tylko jednostki, ogół zaś albo nie rozumie jeszcze wielkości przekazanych nam przez Marcinkowskiego dzieł i idei, albo też nie umie się zdobyć na godny i odpowiedni obchód rocznicy jego urodzin.

W rzeczywistości — po części tak jest. W arcytrudnem położeniu naszem straciliśmy jakoś ochotę i *umiejętność* do urządzania obchodów jubileuszowych. Gdzie i kiedykolwiek w ostatnich latach zabraliśmy się do takich uroczystości, to zawsze nosiły one znamię pobieżności, ubóstwa duchowego i uczuciowego, często zaś raczej obniżały niż podnosiły pamięć uczczonego w ten sposób męża lub wypadku dziejowego. Pochodzi to poniekąd ztąd, że przy takich obchodach liczyć się musimy zanadto z argusowem okiem i ciężką dłonią władzy państwowej, która z srogą wprost troskliwością czuwa nad tem, aby przypadkowo nasze uczucia i nasza fantazya zanadto nie wybujały. To z góry nadaje tym chwilom i obchodom cechę ubóstwa i nadzwyczajnej trzeźwości. Nie braknie atoli także innych *wewnętrznych* więcej przyczyn. Nie tajmy tego przed sobą, owszem wypowiedzmy to otwarcie, że nasz poziom umysłowy obniża się — zwłaszcza w rzeczach ojczystych — z dniem każdym. Zniewoleni nadmiernymi wprost wysiłkami zdobywać sobie suchy kawałek chleba, zaniedbujemy w straszliwy wprost sposób kształcenie *ducha.* Obchodzić rocznicę pamiątek przeszłości z *zapałem* mogą zaś tylko ci, którzy doniosłość ich znają i dobrze pojmują. A jakże pod tym względem ma się rzecz u nas? Bardzo, bardzo smutnie! Coraz częściej napotkać u nas można, mianowicie w młodszem pokoleniu nawet w sferach *wykształconych* ludzi, którzy z przeszłości naszej znają ledwie piąte przez dziesiąte, a którzy — i to rzecz najsmutniejsza, nie czują w sobie nawet pociągu do zajmowania się przeszłością, dziejami chwały, upadku i odrodzenia narodu. Od takich zaś nie można się spodziewać ani nawet wymagać *zapału* dla obchodów odnośnych. Są to w ich oczach „szopki" narodowe, nie mające głębszego znaczenia i ponieważ w dodatku urządzanie takich „szopek" połączone bywa z niemałym trudem a nadto narazić może urządzających na starcie z władzami, na podejrzenie, że są także „wielkopolskimi agitatorami", więc nie dziw, że tak mało jest ochotnych do urządzania tego rodzaju

obchodów, a nawet do biernego chociaż w nich uczestniczenia. Smutne to i bolesne nad wszelki wyraz, ale zupełnie prawdziwe. Pozostawia się tedy najczęściej zadanie to ludziom, u których dobre chęci nie zdołają nastąpić braku odpowiednich kwalifikacyi — i ztąd to wielkie ubóstwo takich u nas obchodów.

Co do *Karola Marcinkowskiego,* to powiedzą może niektórzy, że właściwie uczciliśmy go już należycie przed dziesięciu laty, gdyśmy — w Poznaniu i tylko w Poznaniu — obchodzili pięćdziesięcioletni jubileusz największego dzieła jego „Towarzystwa pomocy naukowej“, że na częstsze obchody nie mamy ani czasu, ani pieniędzy. Wygodna to, ale licha wymówka. Pieniędzy mamy niekiedy za wiele nawet i pełnemi dłońmi wyrzucamy je na.... niemiecko-żydowskie gazety. I czasu nam niebraknie, gdyż wielu z nas ma go nawet tyle, że uczestniczy.... w uroczystościach i festynach niemieckich.

Tem więc gnuśności naszej zasłaniać nie możemy. A tu chociażbyśmy mieli rzeczywiście jednego i drugiego za mało, to jeszcze nie byłoby grzechem poświęcić *jaknajwięcej* na uprzytomnienie sobie zasług męża tej miary, jakim był Marcinkowski, a mianowicie jego czynów i idei. Na ten cel warto sobie, jak się to mówi: „od ust odjąć, nie dojeść, nie dospać.“

Iluż z nas zna dobrze żywot *Marcinkowskiego,* jego dążności i idee? Powiedzieliśmy na wstępie, że nazwisko jego jest u nas jednem z najpopularniejszych. To prawda, ale popularność ta nie sięga niestety dalej, jak do nazwiska. Z nielicznemi wyjątkami ogół wie tylko, że był to mąż sławny i dobroczyńca narodu; nieznanem mu zaś jest, na czem właściwie ta wielkość i te dobrodziejstwa jego polegały? Winne temu piśmiennictwo nasze, które zdobyło się zaledwie na dwie książki o *Marcinkowskim,* nie wyczerpujące bynajmniej obfitego materyału, a pomijające niestety nieraz właśnie najwybitniejsze rysy tej rzadkiej postaci. Przypuszczaliśmy, że właśnie zbliżająca się setna rocznica jego urodzin, lukę tę wypełni — lecz zawiedliśmy się niestety. Na naszej niwie literackiej panuje rzeczywiście od lat wielu już wprost przygnębiająca posucha.

A jakżeż wdzięczny byłby to temat nawet do napisania obszernego studyum! Przecież wszystkie nasze dzisiejsze *programy, myśli wytyczne* itd. opierają się głównie na ideach *Marcinkowskiego.* On to pierwszy jeszcze w epoce, która jedyną możliwość ocalenia i zbawienia narodu widziała w zbrojnych porywach, która w naiwnej swej dobroduszności spodziewała się pomocy z zewnątrz, od „politycznych przyjaciół narodu polskiego“ — jasno widział i bez trwogi wypowiadał, że ta droga nigdy nie doprowadzi nas do celu, że trzeba wybrać inną, powolniejszą, mozolniejszą, mniej dającą chwały i rozgłosu, lecz skuteczniejszą i pewniejszą drogę *wewnętrznego,* kulturalnego odrodzenia. Na prawdę bowiem wówczas jeszcze nie byliśmy *pełnym* narodem, *takim* narodem, jakiego wymagają obecne stosunki i jaki jedynie ostać się może w burzliwej ciężkiej walce o byt zarówno jednostek, jak i społeczeństw. Posiadaliśmy przecież tylko dwie klasy, dwie warstwy, szlachtę i lud, brakło zaś przedniego ogniwa, które każdy naród dopiero kompletnym i silnym robi. Więc pierwszem i najgłówniejszem staraniem Marcinkowskiego było, brak ten wypełnić, stworzyć tę warstwę i przez to podnieść ogromnie żywotną siłę narodu. Znaczenie i potęgę średniego ogniwa tego poznał on dokładnie podczas pobytu swego w Anglii, tam też przyswoił sobie ową wielką, niezwalczoną maksymę: *„Pomóż sam sobie“* i wróciwszy do kraju chciał się już zastósować do całego społeczeństwa. Nie oglądać się na obcą pomoc, lecz wszystko stworzyć *własnemi* siłami, oto była najpierwsza jego maksyma. Własnemi siłami, własnemi środkami, nieraz tak grzesznie trwonionemi wśród obcych, miał naród stworzyć sobie to, czego mu jeszcze brakło, stan średni, inteligencyą naukową, przemysł i handel. To głosił wszędzie, do tego wzywał i zachęcał.

I, Bogu najwyższemu dzięki, posiew jego padł na żyzną rolę. Znalazło się kilku mężów stanowiskiem i majątkiem górujących ponad rzeszą rodaków, jak Mielżyńscy i Potworowski i oni to dopomogli skromnemu lekarzowi poznańskiemu do zrealizowania chociaż początków i pierwszych podstaw reformatorskich jego idei. Powstało tedy dobroczynne „Towarzystwo pomocy naukowej“, powstała Spółka Bazarowa — powstać miało i byłoby powstało zapewne wiele innych dzieł zbawiennych — gdyby następne wypadki oraz przedwczesna śmierć Marcinkowskiego nie były na chwilę przerwały tego prądu nowego, przez niego zapoczętego.

O tych wypadkach warto pomówić obszerniej i pomówimy też o nich w następnych artykułach. Dziś tylko — zaznaczamy jeszcze, że w osobie Marcinkowskiego czcić powinniśmy przedewszystkiem wielkiego *reformatora* społeczeństwa naszego, jednego *z największych,* jakich nam dała Opatrzność. Zawdzięczamy mu niemal wszystko, cośmy unieśli z pogromu do tej chwili, a w większej jeszcze mierze to, *czegośmy się dorobili.* I czyż dla uczczenia takiego męża wolno żałować czasu i grosza? Za życia odpłaciliśmy mu czarną niewdzięcznością, a i dziś grzeszymy nieraz ciężko przeciwko wielkiej jego spuściźnie, dlatego postaramy się w krótkości chociaż uprzytomnić czytelnikom pracę i wielkość męża tego i jego dla nas zasługi, przedewszystkiem zaś idee, jakie nam pozostawił.

J. K. M.

Pożar Wschodu.

Zawierucha, jaka zerwała się w Chinach, czyni wrażenie olbrzymiego pożaru, z którego iskry lecą na świat cały, budząc jeśli nie trwogę powszechną, to pełną niepokojów ciekawość — jak daleko pożar się rozniesie, dokąd sięgną jego ogniste języki, oraz jaki feniks polityczny wykluje się ze zgliszcz niszczącego żywiołu?

Ogrom przestrzeni, objętej pożarem, bezmierny zapas materyału palnego zwiększają ten niepokój i zainteresowanie tembardziej, że w szeroko zakreślonej akcyi ratunkowej tkwi nieszczerość.

Ratunek, wszakże jest możliwy: wystarczy jedność akcyi. Tu wszakże rodzi się nowa niepokojąca wątpliwość: czy opłaci się ratować przedsiębiorstwo, które bez względu na ponętne obietnice w przyszłości, daje dziś tylko straty i jest przyczyną dysonansów w koncercie polityki międzynarodowej? Czy nie lepiej więc od razu zgryść nieszczęsną kość niezgody i dokonać rozrachunku raz na zawsze: „ty weźmiesz to, ja tamto, tobie przypadnie tyle, a temu tyle, tamtemu zaś damy na piwo, lub pokażemy figę.“

Oto wątpliwości, wyrażone w języku prostym, dla każdego śmiertelnika dostępnym, które niewątpliwie figurować muszą w notach i politycznych aktach, przybrane w wytwornie ułożone frazesy dyplomatyczne.

I być może, że wątpliwości powyższe dałyby się wygładzić i usunąć za pomocą subtelnie obmyślanych finezyi polityki, gdyby nie ta okoliczność, że jeden z głównych akcyonaryuszy *in spe* zaangażował nieopatrznie swoje zasoby w innem, korzystnem, lecz nie tak wielkiem przedsiębiorstwie, i że nie jest w możności wycofać je dość prędko, aby stanąć do wszechświatowego konkursu przewidywanej upadłości, czy też sumy asekuracyjnej.

Nie trzeba być wielkim znawcą spraw politycznych, aby ocenić tragizm sytuacyi zaangażowanego w innej parafii konkurenta, któremu trafia się do zrobienia daleko korzystniejsza partya na polu polityki Wschodu...

W takiem położeniu znajduje się obecnie Anglia, która uwikławszy się w przy-

długą nieco aferę zaborczą w Transwaalu, nie może wystąpić obecnie z całym aparatem swej mądrej (dla siebie) a przekonywającej (z konieczności) dla świata polityki międzynarodowej, w roli „uczciwego maklera“ czy też rozjemcy, który za swe trudy umie zawsze wyznaczyć sobie lwią cząstkę zysków.

Zważywszy zaś, że ta „uczciwość“ maklerska dała się już niejednokrotnie we znaki tym wszystkim, którym została narzuconą — zrozumieć łatwo, że świat polityczny wielce musi być kontent z kłopotliwego położenia uwikłanego w sieci własnych trosk pośrednika, i że postara się je dla siebie wyzyskać w sposób najbardziej korzystny, to jest że pospieszy z ugaszeniem wielkiego pożaru Wschodu jak najprędzej.

Oto jak przedstawia się w świetle praktycznego rozumu pierwszy akt wielkiej tragedyi dziejowej, do której już zagrały szumnie a groźnie surmy bojowe. .

Co po nim nastąpi? Czy Europa poprzestanie na tymczasowem uśmierzeniu politycznych namiętności i wprowadzeniu porządku w państwie, liczącem blisko pół miliarda „wnuków“ słońca i „siostrzeńców“ księżyca, przez utrzymanie przy władzy cesarza bardziej podatnego dla celów polityki europejskiej i do przeprowadzenia reform cywilizacyjnych?... Odpowie nam na to niedaleka przyszłość.

S. K.

Cesarzowa chińska.

Z po za wieńca różowych murów, jakiemi okolone jest „zakazane miasto“, w Pekinie, niewiele wydostaje się na świat szerszy. Dochodzą nas tylko słabe echa tych zajść i przewrotów, jakie się tam rozgrywają, tych tragedyi, które powodują różne zawikłania dynastyczne. Krwawe wypadki ostatnich czasów, groźny ruch sekty „Bokserów“, a raczej „Wielkiego Kułaka“, zwrócił uwagę powszechną przedewszystkiem na głowę narodu tego, który chce dziś wytępić u siebie wszystko, co cudzoziemskie. Wiadomem jest, że państwem niebieskiem rządzi dzisiaj kobieta, ale zawikłane i krwawe ścieżki, jakiemi doszła do władzy, osłonięte są dla ogółu szerszego nieprzeniknioną tajemnicą, tylko najważniejsze fazy niezwykłego biegu życia niepospolitej kobiety owej są znane.

Córka ubogich rodziców, mieszkających na jednem z przedmieść Kantonu, niezwykłą urodą zwróciła uwagę pewnego „generała“, który ją kupił od rodziców i pojął za żonę. Przedstawiona u dworu, podbiła od razu serce panującego wówczas cesarza, Hsien Funga, i generał otrzymał rozkaz odstąpienia swej żony monarsze. Gdy zaś następnie obdarzyła ona cesarza synem — z prawą małżonką swoją nie miał Hsien Fung wcale dzieci — otrzymała nazwę Tsu-Tsi i podniesiona została do godności cesarzowej pałacu zachodniego i cesarzowej matki; żona pierwsza nosi zawsze w Chinach tytuł cesarzowej wschodniej, gdyż wschód jest stroną honorową dla dążącego na południe Chińczyka. Cesarz Hsien-Fung, uciekłszy w r. 1860 z Pekinu przed zbliżającą się wyprawą angielsko-francuzką, zmarł w roku następnym w Jeholu, a tron odziedziczył sześcioletni syn jego. Wycieńczony rozwiązłem życiem, otoczony dworakami, których jedynym celem było zagarnąć władzę w swoje ręce, uległ ich namowom i na łożu śmierci mianował ośmiu faworytów regentami na czas nieletności syna. Lecz brat jego, książę Chun, ożeniony z siostrą cesarzowej Tsu-Tsi, człowiek energiczny i zdolny, który w toku rokowań pokojowych obcował z Europejczykami, przewidywał niebezpieczeństwa, jakie groziły Chinom, gdyby władza najwyższa pozostała w rękach grona chciwych, reakcyjnych urzędników. Porozumiał się z prawą wdową po cesarzu, noszącą nazwę Tsu-An, i pod opieką jego udało się jej umknąć z Jeholu wraz z małym cesarzem i jego matką Tsu-Tsi. Przy pomocy śmiałego zamachu wszyscy regenci, którzy podążyli za zbiegami do Pekinu, zostali zaaresztowani, a dwom ich przywódzcom, książętom krwi, pozostawiono do wyboru: popełnić samobójstwo, lub podzielić los towarzyszów, którzy zostali straceni na placu publicznym w Pekinie.

Po tem usunięciu regentów syn Tsu-Tsi obwołany został cesarzem pod nazwą Tung-Chi, a rządy złożono w ręce obu cesarzowych. Ambitna, niepospolitemi zaletami umysłu i stanowczym, energicznym charakterem obdarzona Tsu-Tsi nie zawahała się ani chwili urody swojej oddać w usługi swej ambicyi i przy pomocy grona faworytów stopniowo zagarniała władzę w swoje ręce, ostrożnie



Tsu-Tsi, cesarzowa-wdowa chińska.

wszakże, nie budząc nigdy zazdrości współregentki. W r. 1872 odbyły się uroczyste zaślubiny cesarza Tung-Chi z Ah-Lu-Teh, dziewicą z rodu mandżurskiego, poczem objął rządy, lecz już w roku następnym dnia 18 grudnia, ogłosił edykt, iż z powodu słabego zdrowia składa znów władzę w ręce regentek; w cztery tygodnie później zaś, „dosiadł Tung-Chi smoka i stał się gościem na świetlanych wysokościach“. Zdawało się, że kwestya następstwa tronu zawikłań tym razem nie spowoduje, gdyż małżonka zmarłego władcy spodziewała się potomka, który oczywiście objąłby władzę. Regentki wszakże, a właściwie Tsu-Tsi, w której rękach cesarzowa starsza stała się już tylko narzędziem, zdołały przeprowadzić, iż następcą tronu obrano trzyletniego syna ks. Chuna i obwołano go cesarzem pod nazwą Kwang-Shu, czyli „Dostojne następstwo“.

Krok ten wywarł wśród ludności, fanatycznie do tradycyi przywiązanej, złe wrażenie; według prastarych zwyczajów chińskich bowiem następcą zmarłego cesarza może zostać tylko człowiek najbliższego pokolenia młodszego, w charakterze syna pośmiertnego i spadkobiercy, gdyż taki tylko może nieżyjącemu członkowi pokolenia starszego składać wymagane ofiary. Chcąc osłabić wrażenie tej samowoli i zapobiedz możliwym zawichrzeniom, cesarzowe wydały edykt, oznajmiający, iż skoro cesarzowi narodzi się syn, będzie adoptowany, jako syn cesarza zmarłego. Z wdową po nim załatwiono się szybko — umarła ze zmartwienia po śmierci małżonka, jak opiewały zawiadomienia urzędowe. Mogła bowiem dać życie synowi, a to wywołałoby niemiłe dla regentek zawikłania, przedewszystkiem zaś złożenie władzy w ręce matki nowonarodzonego cesarza.

Edykt regentek uspokoić całkowicie umysłów nie zdołał, a w r. 1879 były cenzor, Wukotu, przedstawił tronowi obszerny memoryał, w którym wykazał, iż postępowanie regentek jest prawu przeciwne, a oświadczenia ich w edykcie zawarte niewystarczające; poczem zgodnie ze zwyczajem chińskim, odebrał sobie życie, aby dowieść swojej dobrej wiary i bezinteresowności. Dzięki dwom zamachom stanu, cesarzowa Tsu-Tsi coraz większą część władzy zagarniała w swoje ręce, tak, że gdy w roku 1881 dostojne regenki nie mogły się w pewnych kwestyach pogodzić, regentka starsza padła nagle ofiarą choroby, której siedliskiem serce rzekomo być miało.

Tsu-Tsi, nazwana odtąd cesarzową-wdową, pozostała jedyną władczynią, a jakkolwiek pozornie na czele spraw państwowych stał ks. Chun, wpływ jego malał coraz bardziej, wobec wzmagającej się przewagi Li-Hung-Czanga, który od nominacyi na wicekróla prowincyi Czili w r. 1870, wzrastał stale w łaskach cesarzowej. Jako Chińczyk wszakże nie mógł Li-Hung-Czang zająć pod rządami dynastyi mandżurskiej tego stanowiska, jakiego godnym byłby tylko jej członek. Książę Chun musiał tedy zostać pierwszym ministrem, jakkolwiek prawo chińskie zabrania, żeby ojciec sprawował służbę u syna; z biegiem lat umiał pozyskać zaufanie cesarza, co wzbudziło w cesarzowej podejrzenie; gdy zaś margrabia Tseng po długoletnim pobycie w Europie powrócił do Chin, a ks. Chun przyswoił wnet sobie jego liberalne zapatrywania, obawy cesarzowej i Li-Hung Czanga wzmogły się jeszcze. Ale szczęście nie opuszczało ambitnej kobiety. W r. 1890 margrabia Tseng zmarł w sile wieku męskiego, a w kilka miesięcy po nim śmiertelna choroba położyła kres życiu ks. Chuna. Tsu-Tsi była zatem nieograniczoną władczynią i pozostała nią po dojściu cesarza do pełnoletności, jakkolwiek pozornie abdykowała.

Taki stan rzeczy trwał do wojny

z Japonią a klęska zadana Chinom w tej walce podkopała władzę i osłabiła urok wszechpotężnej monarchini państwa niebieskiego. Zaczęły się w pałacu burzliwe sceny i gwałtowne zajścia pomiędzy cesarzową-wdową a młodym cesarzem, w stolicy urzędnicy podzielili się na dwa obozy: stronników cesarzowej i przeciwników „rządów spódnicy“, i nagle świat został wprawiony w zdumienie edyktami młodego cesarza, świadczącemi, że nad wodami Chin powiał wiatr nowy. Z poza murów różowych zaczęły wybiegać pogłoski, że grono nowatorów popiera usiłowania władcy, i zdawało się, że nastał nareszcie czas wielkich a szybkich reform w olbrzymiem państwie. Ale śmiali nowatorzy w zapale swoim zapomnieli o chciwej władzy cesarzowej-wdowie i przestali się z nią liczyć. Tsu-Tsi spokojnie patrzała na ich działalność, a gdy uważała, że zamysły reformatorów dostatecznie już wzburzyły całą falangę przedajnych urzędników zaczęła działać.

Co się stało w obrębie murów „miasta zakazanego“, jakich środków chwyciła się sześćdziesiąciokilkoletnia, niezaspokojoną, nigdy żądzą panowania trawiona, cesarzowa — nikt nie wie. Świat ponownie w większe jeszcze wprawiony został zdumienie edyktem cesarskim przywracającym cesarzową wdowę na stanowisko regentki; wkrótce potem zaś urzędowa gazeta pekińska oznajmiła, iż cesarz ciężko zaniemógł, a przez pewien czas uważano go za umarłego. Żyje on jednak, ale gdzie?



Kwang-Shu zdetronizowany cesarz chiński.

jak? — znów nikt powiedzieć nie zdoła. Kilku reformatorów zdołało umknąć, sześciu z nich stracono na placu głównym w Pekinie, szli na śmierć jak bohaterzy, a Tau-Sze-Tung, jeden z najszlachetniejszych męczenników nowego ruchu, idąc na rusztowanie zawołał, że za każdą głowę, która dnia tego spada, powstanie nowych głów tysiące, które reformy dalej wprowadzać będą i dokończą. Liczni inni reformatorzy zostali zdegradowani, wtrąceni do więziena, lub wygnani. Edykt następował po edykcie, a wszystkie te, które wydał cesarz, zostały unieważnione.

Po raz trzeci w ciągu czterech dziesiątków lat cesarzowa Tsu-Tsi odniosła zwycięztwo, powróciła do władzy niepodzielnej dzięki spiskowi pałacowemu, ale te jej tryumfy nie były pozbawione goryczy, zawdzięcza je wyłącznie prawie Mandżurom, a jest za mądrą, by nie dostrzegać niebezpieczeństwa, jakiem groziło buntowanie Mandżurów przeciw Chińczykom. Czy prawda jest, że cesarzowa popiera obecnie rewolucyę sekty „Wielkiego Kułaka“, nikt zapewnić nie może — to tylko wiadomo, że wszechwładna monarchini olbrzymiego narodu wschodniego jest bardzo wrogo usposobiona dla wszystkiego co cudzoziemskie, a zwłaszcza co europejskie. G. P.

Z TYGODNIA.

Wiadomości z Chin brzmią coraz bardziej zastraszająco. Gdy się zważy, że kilka, lub co najwięcej kilkanaście tysięcy Europejczyków znajduje się obecnie wobec rozjuszonych milionów Chińczyków, przyznać trzeba, iż położenie jest bardzo krytyczne. To też niezmiernie alarmujące wieści rozchodzą się pomiędzy Europejczykami. W ubiegłym tygodniu dwukrotnie telegrafowano z Szanghaju, że w Pekinie, stolicy Chin, wszystkich obcokrajowców, mianowicie misyonarzy i ambasadorów obcych mocarstw, wymordowano. Na szczęście wiadomość ta okazała się nieprawdziwą Siły, jakiemi rozporządzają Europejczycy, są prawie żadne. Francuzki odwach, pod opiekę którego schronili się katolicy, liczy np. zaledwie 25 ludzi. To też na pierwszą wieść o rozruchach w Pekinie pozostające na pograniczu Chin oddziały połączyły się i pod wodzą angielskiego admirała Seymoura wyruszyły w stronę Pekinu w sile zaledwie 900 ludzi. Sekta bokserów, zdążająca do wytępienia obcokrajowców, cieszy się poparciem władz chińskich i dworu, jakkolwiek bezwątpienia ma antydynastyczne zamiary. Dowódcą bokserów jest niejaki Chan, chiński uczony, który dowodzi, że Europejczycy przynoszą Chinom zgubę i z tego powodu trzeba ich ogniem i mieczem wytępić. Prócz tego twierdzi on, że i dynastya obecnie panująca, mandżurskiego pochodzenia, powinna być usunięta, gdyż nie jest prawowitą. Chan sam pragnie zostać cesarzem. I z tem się nie kryje. Kilkakrotnie pokazał się ju w żółtym stroju, który jest w Chinach oznaką władzy cesarskiej i pod karą śmierci niewolno go komu innemu używać. Dwór w Pekinie postępuje więc bardzo nierozważnie, że bunt bokserów popiera.

W popieraniu usiłowań bokserów czynny udział biorą władze lokalne. Nie ulega wątpliwości, że wskutek tajnego rozkazu z Pekinu, komendant portu w Tafu nagle ze wszystkich armat dał silny ogień na statki europejskich mocarstw. Okręty europejskie odpowiedziały również armatniemi strzałami i po długiej kanonadzie i obustronnych stratach forty chińskie musiały się poddać. Przytem dwa okręty europejskie, — jeden angielski, drugi rosyjski, zostały zupełnie zniszczone, a ofiary w ludziach doszły do kilkudziesięciu.

Wobec tych wiadomości wszystkie mocarstwa postanowiły niezwłocznie działać i wysyłają okręty z liczną załogą.

Nie ulega jednak wątpliwości, że jeśli miałby nadejść już teraz moment podziału Chin, to wymagałoby to od mocarstw europejskich ogromnego nakładu sił i wojska, a przedewszystkiem zgodnego działania. Tymczasem właśnie na to zgodne działanie się nie zanosi, bo wszystkie mocarstwa, jak czujące zdobycz drapieżne zwierzęta, chciałyby tylko wyłącznie dla siebie łup zapewnić i nawzajem na siebie szczerzą zęby.

Złym duchem obecnej zawieruchy w Chinach ma być cesarzowa-matka, która zdetronizowała cesarza i trzyma go w zamknięciu, cesarz zaś gotów jest podobno przyjąć pomoc Europejczyków i zgodnie z ich wolą rządzić, gdyby go tylko uwolnili.

W chwili gdy największe interesy rozstrzygają się na wschodzie dla każdego mocarstwa i gdy Rosya wyciąga dłoń, aby zagarnąć lwią część łupu, spotkał politykę rosyjską cios, który odezwać się może na dalszem stanowisku jej w kwestyi wschodniej. Hr. Murawiew, rosyjski minister spraw zagranicznych, nagle zakończył życie. Ta niespodziewana wieść dała powód do rozmaitych komentarzy, z których żaden jednak nie zdaje się prawdziwym. Faktem jest tylko, że minister umarł nagle, — przyczyn tej śmierci trudno upatrywać w jakichś politycznych kombinacyach.

Wojna w Chinach przyszła Anglii bardzo nie na rękę, pozbawiając ją możności wytężenia wszystkich sił swoich w jednym kierunku, — wojna z Boerami bowiem jeszcze nie ukończona. Boerowie trapią swych wrogów podjazdami, odcinają dowóz żywności i przeszkadzają wymarszom wojsk angielskich. Odcięte od głównej linii zwycięskie wojska Robertsa podobno cierpią teraz straszny głód i nie są zaopatrzone w potrzebne środki, aby się obronić wpływom niezdrowego klimatu. Wobec tego Anglicy wysyłają do Azyi na walkę z Chińczykami — pułki stojące załogą w Indyach. Indye też jednak nie są pewne i zachodzi obawa wybuchu powstania.

Cesarz Wilhelm uczestniczył niedawno w uroczystym obchodzie 700-letniego istnienia kopalni miedzi w Mansfeldzie. Jak stwierdza berlińska „Germania“, niemile dotknęły katolików niemieckich słowa cesarza, w których sławił zasługi Lutra i króla szwedzkiego, Gustawa Adolfa. Pismo to przypomina, że właśnie wielki elektor, jeden z naj-

większych książąt brandenburskich zupełnie inaczej się zapatrywał na Gustawa Adolfa, uważał go bowiem za najeźdźcę, który pod płaszczykiem religii chciał się obłowić w Niemczech i wyssał też kraj i naród aż do szpiku kości.

W sprawie chojnickiej nie zaszła żadna zmiana na lepsze. Na życzenie dowódzcy wojska ogłosił magistrat, że batalion wojska na rozkaz samego cesarza przybył do Chojnic i pozostanie tam aż do chwili zupełnego spokoju. Według rozkazu cesarskiego miasto ponosi koszta utrzymania wojska, które wynoszą przeszło 800 marek dziennie.

Jak się teraz okazuje, podczas rozruchów w zeszłym tygodniu wojsko miało następujący rozkaz: *Aresztować każdego, kto nie usłucha, przebić każdego natychmiast, kto stawia opór.* — Pogłoska o zaprowadzeniu stanu oblężenia nie sprawdziła się.

Obecnie już panuje względny spokój. Śledztwo — bez rezultatu — jest już na ukończeniu. Władze zapewne ociągają się z ogłoszeniem tego, aby nie wzbudzić oburzenia ludności. Pokazuje się, że aresztowanie Hoffmana, niewinnie posądzonego o zbrodnię, spowodowali żydzi.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Do **„Wiarusa“** w Bochum donoszą o fakcie, niestety prawdziwym, a tak smutnym, że serce kraje się na samą myśl o jego możliwości:

„Kilka dni temu zagadnął mię pewien młody mężczyzna, pytając się, kędy się idzie na pocztę. Widząc, że to Polak, odpowiadam mu po polsku, lecz on dalej wali „dajcz“, chociaż szło mu to, jak po grudzie. Pytam się dalej po polsku, gdzie się rodził, a on odpowiada po niemiecku, że w Westfalii. Mówię mu, że przecież mnie nie oszuka, bo na pierwszy rzut oka widzę, że jest Polakiem; nie dobrze też czyni, że się wstydzi swej narodowości, albowiem jest zaszczytem być Polakiem. Tak i podobnie zacząłem mu przemawiać do serca, aż wreszcie zaczął mówić po polsku. Ciekawy byłem jakiego też długiego potrzeba było czasu, aby tak upaść, iżby się zaprzeć swej narodowości. Pytałem się tedy, jak długo już przebywa na obczyźnie i z których stron pochodzi. Usłyszawszy odpowiedź, osłupiałem, bo dowiedziałem się, że dopiero pół roku minęło, jak opuścił swą rodzinną wioskę, pod Pleszewem.

„Źle, pomyślałem, kiedy jest możliwem, iż Polak już w pół roku po opuszczeniu kraju ojczystego, wstydzi się nietylko, ale nawet zapiera się swej narodowości. Przebywam już kilka lat na obczyźnie, ale takiego głupca, któryby się tak uparcie zapierał swej narodowości, pierwszy raz spotkałem, a dałby Bóg, żeby takich ciemnych było jaknajmniej. Pokazawszy owemu pożałowania godnemu człowiekowi drogę na pocztę, skierowałem kroki ku domowi. Dziwne jednak wrażenie wywarło na mnie spotkanie owego młodego człowieka, to też zawsze stawał mi on przed oczyma. Jakiś smutek mnie ogarnął i zacząłem rozważać, co mogłoby być powodem, że tak prędko zapomina tylu braci naszych, iż Pan Bóg stworzył ich Polakami i dał im polską mowę, nie na to, aby się zapierali, że są Polakami, aby się wstydzili mowy polskiej, lecz na to, aby Boga Stwórcę swego w tej mowie wychwalali, aby swą narodowość kochali i przy niej wiernie stali do śmierci. Przywiodłem tedy sobie na pamięć stosunki w naszej kochanej Polsce i wtedy powiedziałem sobie, że jedynie to może być powodem, iż człowiek ten wychodząc na obczyznę, nie miał poczucia narodowego.“

Że właśnie na braku tego poczucia narodowego polega cała masa zboczeń od prawej drogi, wskazanej miłością obywatelską, — dowodzi najlepiej ta okoliczność, iż właśnie niedawno przybyłych na obczyznę rodaków najtrudniej jest nakłonić do zapisania gazet lub wstąpienia do towarzystwa. Dopiero z czasem, gdy bieda zwróci napowrót oczy ku swoim i swej rodzinnej wiosce, zaczynają powoli wracać serca zbłąkane i wtedy dopiero — jeśli nie jest jeszcze zapóźno — zaczynają żyć nasi wychodźcy pełnem życiem narodowem. Niedawno na wiecu berlińskim rzekł jeden z tamtejszych znawców stosunków, że „nieraz na obczyźnie dopiero nabiera człowiek pojęcia o tem, co jest Ojczyzna i co jest jej winien“ — a słowa te nie są przesadą. Z kraju niestety przychodzi lud pod wielu względami zaniedbany, bo niestety rodacy nasi w kraju zamało się poczuwają do obowiązku rozbudzenia ducha narodowego, nie starają się, aby zapomocą gazet i towarzystw podnieść w nim oświatę. W każdej wiosce, w każdej choćby parafii powinno być towarzystwo polskie dla ludu, w każdej chacie powinno się znajdować pismo polskie! Gdyby to nastąpiło, nasz lud, znalazłszy się na obczyźnie, nie szedłby po omacku ku utracie swej narodowości, lecz umiałby ją utrzymać, a dla kraju pożytek zapewnić.

Niechże tedy hasłem dla każdego będzie: „W mej wiosce, w mem miasteczku musi powstać i rozwijać się towarzystwo ludowe!“

My musimy wytężyć wszystkie siły zwłaszcza wobec tej okoliczności, że jad germanizacyi potrafił niestety znaleźć przystęp do takich osób, które wykształceniem i powołaniem swem odgrodzone być od niego powinny. O czynach niemiecko-patryotycznych księdza Krzesińskiego, proboszcza w Kaszczorze, piszą do **„Dziennika Poznańskiego“**:

„Wiadomo, że ks. Krzesiński już dawniej odznaczał się wybitnem prusofilstwem i płaszczeniem się rządowi, a nawet umizganiem się do żydów tem, że napisał broszurę, w której wykazywał, rzekomo naukowo, bezpodstawność twierdzenia o istnieniu mordów rytualnych. Obecnie wziął udział w festynie odsłonięcia pomnika poległych wojaków, chociaż cała uroczystość miała charakter kościelno-luterski. Ks. K. pobożnie wysłuchał kazania pastora i luterskich chorałów, a nakoniec sam złożył wieniec z dedykacyą od siebie.

„Drugim czynem nie liczącym się z charakterem katolickiego kapłana, a popełnionym przez ks. K., jest wzięcie udziału i zabranie głosu na uroczystości poświęcenia nowej chorągwi „Kriegervereinu“ w Kaszczorze „Tyg. pow.“ tak streszcza jego mowę:

„Poczem zabrał głos proboszcz v. Krzesiński. Wspomniał o pełnem chwały zwycięztwie pod Mars la Tour, w którem wielu wojaków z Kaszczora krew swą wylało za ojczyznę. Nazwiska poległych są wprawdzie uwiecznione na tablicy pamiątkowej w kościele, ale są one, ponieważ tablica jest z drzewa, tak nieczytelne, że mówca czuł się spowodowanym fundować ku trwałej pamięci poległych tablice z czarnego marmuru, na której ich nazwiska wyryte są złotemi literami. Poświęcenie jej nastąpi 18 sierpnia rb. Mówca wzywał wojaków do stałej wierności dla cesarza i państwa...“

Pogorsza całą sytuacyę ta okoliczność, że ksiądz Krzesiński jest synem zacnego krzewiciela oświaty poznańskiego gimnazyum śp. Hieronima Krzesińskiego. Ojciec jego zmarł jako człowiek zasłużony dla swego społeczeństwa, syn jego innemi poszedł drogami i zaszedł na bezdroża. Społeczeństwo polskie czuje dla niego dziś uczucie, na które brak wyrazu wobec faktu, że niestety — nosi on sukienkę duchowną.

Jeśli jednak porównamy powyżej przytoczony przykład zbłąkania narodowego stwierdzonego u biednego wychodźcy w Westfalii — i gdy go porównamy z tym złym przykładem, jaki daje swym rodakom ks. Krzesiński, to można o pierwszym powiedzieć: „Panie! przebacz mu, bo nie wie co czyni.“ — Ale tu, o jednostce, która w pełni świadomości i inteligencyi w podobny sposób ubliża swemu pochodzeniu polskiemu, i swym rodakom daje zgorszenie, powiedzieć chyba można: „Kto gorszy — niechaj przywiąże sobie kamień młyński do szyi i pójdzie się utopić.“

Z powodu rozpoczynającego się kwartału szereg zdrowych uwag w zaproszeniu do przedpłaty podaje **„Gazeta Opolska“**:

„Nam bardzo potrzeba bogactwa narodowego, abyśmy mieli siłę do wytrwania w współzawodnictwie z innymi narodami. Do osiągnięcia tego bogactwa i tej siły narodowej potrzeba pracy i oświaty. Pracy, bo bez niej nie zdobędziemy nawet chleba codziennego, a oświaty, aby wiedzieć, jak tą pracą pokierować. Lud nasz, w szczególności ślązki, odznacza się i słynie z wielkiej pracowitości, nie trzeba go więc zbytecznie do pracy pobudzać; natomiast potrzeba temu ludowi koniecznie więcej oświaty, gdyż bez oświaty praca nie wiele nam przyniesie szczęścia i pożytku, bez oświaty pozostaniemy zawsze wyrobnikami, wysługującymi się obcym, i mimo wielkiej pracowitości nigdy nie zdobędziemy bogactwa narodowego. Aby ta oświata między ludem się szerzyła, do tego służą książki, towarzystwa a nadewszystko gazety polskie. Gazety od dawna nad oświatą między ludem pracują, podając temu ludowi wiadomości pożyteczne do podniesienia wydatności pracy. Aby jednak ta praca gazet wydała plon obfity, powinien lud

gazety popierać przez ich abonowanie i zyskiwanie im coraz więcej abonentów.“

Wogóle, im bardziej się zastanawiamy nad niezwykłą siłą, jaką w sprawie naszej obrony narodowej posiadają gazety, tembardziej przychodzimy do przekonania, że są one jedną z najsilniejszych moralnych dźwigni naszej sprawy; powinny się one rozwijać bujnie na szerokim obszarze czytelnictwa ludowego, a zwycięstwo będzie po naszej stronie.

Niestety nie wszyscy w jednakowy sposób pojmują te obowiązki tak ważne; wszak niedawno mieliśmy przykład, że za polskie pieniądze zaczęła wychodzić *niemiecka gazeta*. Ale mieliśmy nadzieję, że po dotkliwej nauczce, jaką interesowani ponieśli, odejdzie im ochota dalszego eksperymentowania w tym kierunku wybujałego rozpolitykowania; sądzimy natomiast, że zwrócą się oni z czasem w tym kierunku, który z natury rzeczy jest i powinien być im najbliższy — w kierunku popierania prasy polskiej.

Słusznie zwraca powtóre uwagę **„Dzien. Poznański“**:

Przy sposobności zwracamy uwagę, że „Posener Neueste Nachrichten“ zajmują w sprawie zbrodni chojnickiej takie stanowisko, jakoby stały po stronie żydowskiej. Chociaż bowiem udowodniono, że rodzina Hoffmanów jest czystą jak łza, organ p. Wagnera dziś jeszcze pisze, że niewinność p. Hoffmanna nie została dotąd stanowczo stwierdzoną (?!!). Również pod rubryką „Nadesłano“ wyraża jakiś „Kulturfreund“ zdziwienie, że mogą się jeszcze znajdować naiwni, którzy wierzą w zbrodnie rytualne. Ów „Kulturfreund„ napada też gwałtownie na pastora Hamera, który nad grobem Wintera zaznaczył z naciskiem, że padł on ofiarą ciemnego zabobonu. W końcu wzywa „Kulturfreund“ duchowieństwo katolickie, aby pouczało lud, że opowieści o zbrodniach rytualnych policzyć należy do rzędu bajek. A więc „gdy trwoga, to do Boga“ — jak powiada przysłowie.“

Dziwnie też wyglądają takie apostrofy do opiekuńczej pomocy duchowieństwa naszego, gdy z drugiej strony ludność niekatolicka naszej prowincyi nie szanuje nawet obchodów uroczystych kościelnych naszych, jak to łatwo spostrzedz na poniższym przykładzie, który przytaczamy za gnieźnieńskim **„Lechem“**:

„W czwartek, w czasie uroczystej procesyi Bożego Ciała, wjechał wóz magistracki, wożący wodę do kropienia ulic, w tłum wiernych zmierzający właśnie do ołtarza przy kanonii X. dra Dziedzińskiego. Woźnica pomimo próśb, aby chwilowo — dopóki procesya nie przejdzie — w bok odjechał, nie usłuchał, tylko założył wąż do hydranta nabierając wodę. Chcąc zapobiedz jakiemu nieszczęściu, gdyż koń na widok chorągwi i śpiewu zaczął się niepokoić, odprowadzili niektórzy obywatele konia z wozem w górę Tumskiej ulicy. — Zapytujemy się tu magistratu, czy on o tej procesyi nie wiedział? a jeżeli wiedział, czemu komunikacyi na czas przechodzenia procesyi od strony Tumskiej i Poznańskiej ulicy nie zamknął? i czemu policyantów, których obywatelstwo nasze opłacać musi, do utrzymania porządku, tam gdzie tego potrzeba wymagała, nie wysłał? Dwóch panów stało w czwartek w czasie czytanej ewangelii przy ołtarzu trzecim, przy procesyi Bożego Ciała w nakrytych głowach. Kiedy im jeden ze znajomych panów zwrócił na to uwagę, że stoją tu, powinni przynajmniej zdjąć nakrycie z głowy, odpowiedział jeden z nich: „Ich bin auch katholisch (jestem też katolikiem)!“ Obydwaj ci panowie są nauczycielami.“

Prowincya nasza niestety ma szczęście tradycyjne do podobnie — taktownych nauczycieli. Jaki to wpływ wywiera na młodzież, łatwo zrozumieć. Owoce tej nauki pruskiej są też po temu.

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Wągrówiec, dnia 15-go czerwca 1900.

Szanowna Redakcyo!

Artykuł z Wągrówca, zamieszczony w jednym z ostatnich numerów „Pracy“, który tak jasno i prawdziwie tutejsze stosunki gimnazyalne do ogólnej wiadomości podał, a który w kole tutejszych Niemców niemało wrzawy narobił, chciałbym trochę uzupełnić. W ostatnich dniach bowiem zaszły tutaj w gimnazyum sprawy, które nie tylko każdego Polaka, ale i sprawiedliwego Niemca najwyższem oburzeniem przejąć muszą i p. dyrektora Widmanna w należytem świetle wystawiają. Otóż pan ten wydał na początku roku szkólnego rozkaz zabraniający uczniom rozmawiania ze sobą po polsku w obrębie gimnazyalnym uzasadniając to względami na współuczniów niemieckich. Że zakaz ten już sam w sobie w najwyższym stopniu samowolnym i niesprawiedliwym jest, dodawać chyba nie potrzeba — ale że p. dyrektorowi nie na wzgląd dla uczniów niemieckich chodziło, pokazało się teraz w ostatnich dniach. Otóż grało niedawno na tutejszym placu gimnazyalnym kilku uczniów, *wyłącznie* Polaków, w lawn-tennis, przyczem naturalnie rozmawiali ze sobą w języku ojczystym. Nieszczęście chciało, że do uszów przechodzącego tamtędy pewnego Niemca zaleciały dźwięki mowy polskiej, które w nim widocznie zaraz zwykły „furor teutonicus“ obudziły. Udał się więc natychmiast do dyrektora i dał swojemu oburzeniu wyraz, że w obrębie „einer preussischen Anstalt“, śmiał się ktoś po polsku odezwać. Wtedy p. dyrektor udał się do prymy, i w słowach bryzgających jadem na wszystko co polskie, dał wyraz swojemu prawdziwemu uczuciu względem Polaków.

Ten „wzorowy“ pedagog radził poprostu wszystkim swoim uczniom polskiej narodowości, aby, jeżeli im się tutaj „auf echt deutschem Boden“ nie podoba, udali się gdzie za granicę, przyczem z ust jego ciągle padały wyrazy, że Polacy urządzają rewolucyę i t. p. Wszystko to wypowiedział p. dyrektor Widmann w prymie także wobec uczniów Niemców. Zapytać by się teraz godziło, czy to jest postępowanie godne i sprawiedliwe i czy tego „wzorowego“ pedagoga nikt za te tak ubliżające słowa i niczem nieuzasadnione oskarzenia Polaków o rewolucyjne knowania do odpowiedzialności nie pociągnie? I tu też do p. Widmanna słowami Cycerona zawołać możemy: Quousque tandem abuteris patientia nostra?

Z szacunkiem
Wierny czytelnik „Pracy.“

* * *

Wilatowo.

Szanowna Redakcyo „Pracy!“

Już oddawna jestem abonentem „Pracy“, a jeszcze o naszem Wilatowie nic w niej nie wyczytałem aż dopiero, gdy pewien Pałuczanin w wierszu do młodzieży Wilatowo do miasteczka dołączył; zapewne szanowny Pałuczanin nie wie, że miasto Wilatowo przestało już istnieć. Wilatowo jest to duża wioska w pięknem położeniu, zamieszkana najwięcej przez rzemieślników i kilkunastu mniejszych gospodarzy, ziemia jest tu bardzo urodzajna, tylko cokolwiek zaniedbana. O kościół tu parafianie niestety bardzo nie dbają, nigdzie jeszcze tak ubogiego kościoła nie widziałem, jak tu, nie pomagają częste prośby zacnego ks. Proboszcza, tu parafianie byle by mieli wygodne miejsce do siedzenia (bo broń Boże, aby który miał stać albo klęczeć), to im wystarczy, więc też na to nie zważają, że kościół jest ubogi. Na inne cele n. p. zabawy, stroje to pieniądze mają.

Tu są aż trzy gościńce, choć na tę okolicę dwa by wystarczyły, ale teraźniejsza młodzież lubi się bawić, zamiast patrzeć swojej profesyi.

Tutejsi panowie nie szukają takiej żony, żeby była dobrą i pracowitą gospodynią, tylko aby miała duży posag (ej, panowie: pieniądz się rozejdzie, a żona zostanie), a tutejsze panny nie byłyby „odpowiednią partyą“, bo tu jest najwięcej szwaczek, sprzedawaczek i robotnic, które naturalnie nie posiadają majątku. Nie ma tu dużej przyjaźni pomiędzy mieszkańcami, zazdrości jeden drugiemu, jeśli mu się dobrze powodzi, jeśli kto ma choć tylko pół morgi więcej, to już z góry patrzy na drugiego mniej posiadającego, albo jeśli która z pań może spacerować w woalce na twarzy, to już drugiej nie widzi, taka dumna.

Wierny abonent „Pracy“
N.

* * *

São Feliciano 1. 5. 1900.

Szanowna Redakcyo!

W imieniu Towarzystwa im. A. Mickiewicza dziękuję serdecznie za bezpłatne przesyłanie przez dwa lata czasopisma „Praca.“ Spodziewaliśmy się, że rok 1900 będzie lepszy od poprzednich, tymczasem od października 1899 zapanowała susza. Promienie słońca wysuszyły wszelką zieleń, rozpaliły ziemię. Zżółkły, poczerniały zasiewy, zmarniały pszczoły, padał drób, za nim nierogaciznę zakopywano. Na domiar złego z podmuchem wiatru złowieszcze kłęby dymu tu i owdzie leniwo podnosiły się w górę, słupy płomieni płynęły falami przez kolonię w rozmaitych punktach. Dym wdzierał się w oczy, zatykał oddech. Potoki płomieni z trzaskiem i szumem, gnane wiatrem rosły pod obłoki, to malały wciąż naprzód rzucając miliardami ognistych iskier, które zapalały poschłe zarośla i spróchniałe kłody drzewa.

Niepowstrzymane ginęły dopiero nad rzekami, lub w głębi lasów wśród ogrom-



Ś. p. Dr. Karol Marcinkowski.
* 23. 6. 1800 — 23. 6. 1900.

nego huku rozkiełznanego żywiołu. Straszny widok w dzień, a w nocy zdało się, że z rozwartych czeluści piekielnych potępieńcze duchy wyściubiwszy rozpalone łby urągają z nieudolności ludzkiej wobec szalejących żywiołów. Aliści na spaloną ziemię padł deszcz wypłakany, wymodlony.

Co żywe biegło na pola, by na nowo siać i sadzić dzień i noc. Dzielono się zbożem, pomagano sobie wzajemnie z tą otuchą, że, jeżeli nie padną w czas mrozy, to nawet przed zimą jeszcze prócz kukurydzy można się doczekać świeżych ziemniaków i głowiastej kapusty.

Zasyłając te słów kilka, o których umieszczenie w „Pracy" proszę, oświadczam, że nie z jakowegoś lekceważenia, ale z ważnych przyczyn nie możemy się zdobyć jeszcze na opłacenie pism nam wielce pożytecznych, choćby tylko tych, które nam także darmo przysyłano z Chicago, jak „Gazetę Katolicką" i „Polonię."

Z najgłębszym szacunkiem
X. Maciej Pięch.

Mój kwiatek.

Każdy z mych braci na żywota błoniu
Znalazł prześliczny kwiateczek dla siebie,
Który mu wonią osładza boleści,
Barwami oczy załzawione pieści,
I jest mu światem w domowem ustroniu,
Szczęściem na ziemi, jego świętym w niebie.

Każdy z mych braci do serca go ciśnie,
Ten kwiat prześliczny co wynalazł sobie,
Co mu był złotą gwiazdeczką w młodości,
Potem najmilszą bogdanką w miłości,
Potem pociechą i nadzieją błyśnie —
I na pamiątkę rozkwitnie na grobie.

Przy moim tylko niema dotąd boku
Takiego kwiatka, jakie wszyscy macie,
Ależ dlatego nie żałujcie brata —
Mam ja prześliczny kwiat na błoniach świata,
Lecz zmysłowemu nie widny on oku,
Bo nie w zmysłowej objawia się szacie.

Kwiat mój jedyny ja widzę swym duchem
Na ziemi w słońcu, w gwiazdeczkach na niebie;
Kwiat mój prześliczny — widzę jak rozkwita
Wszędy i zawsze gdzie myśl Boża świta,
We wnętrzu ziemi, czy ponad chmur puchem,
Czy w was o bracie, czy gdy zajrzę w siebie.

Dla was — on jako ciemność nieprzejrzysta,
Bo wy szukacie kwiatów swoich dłonią,
W mym tylko prawda i sam Bóg spoczywa,
Bo *prawdą* bracia kwiat mój się nazywa;
A barwą jego — *piękność wiekuista*,
A *miłość* — tego kwiateczka jest wonią.

Zygmunt R.

Prastare święto.

Wielką jest siła przyzwyczajenia. Raz jakiś zwyczaj zakorzeniony w narodzie, niełatwo daje się usunąć. Szczególniej też Słowianin jest nader zachowawczym. Ztąd przeto niemałe kościół chrześciański napotykał trudności z wyplenieniem resztek zwyczajów pogańskich. Niektóre z nich, mimo nawet surowych zakazów, długo były praktykowane, jeżeli nie jawnie, to przynajmniej pokryjomu. Część połączono z obrzędami nowego kościoła, a mniej jego zasadom przeciwne, dzięki pobłażliwości duchowieństwa, przetrwały aż do naszych czasów.

Do takich odwiecznych zabytków należy piękny obrzęd Sobótki i puszczanie wianków w wigilią św. Jana, praktykowany jeszcze na wszystkich ziemiach dawnej Polski, już nietylko przez sam lud, ale wszystkie warstwy narodu.

Na dawnej Rusi było to święto poświęcone na cześć Kupały albo Kupajły, bożka opiekującego się płodami ziemi. Lud palił mu ognie zapewne dla wyjednania u niego dobrych urodzajów. Dziś czyni tak samo, jeno że bez świadomości celu, jedynie z przyzwyczajenia i dla zabawy.

Jest to zwyczaj niewinny a piękny, więc nie należy go zaniedbywać. Zwła

szcza dziś, wobec tak wrogich zamachów na naszą narodowość, tembardziej powinniśmy zachowywać wszystkie nasze dawne zwyczaje i obyczaje — bo nietylko język stanowi cechę narodową.

Tem większa przeto należy się wdzięczność poznańskiemu towarzystwu „Stella“, które jak corocznie, tak też i w roku bieżącym, zajęło się urządzeniem tej uroczystości.

W sobotę dnia 23 czerwca, zaledwo zmierzch zapadał, już nad brzegami Warty około bramy Szelągowskiej zaczęły się gromadzić tłumy ciekawej publiczności. Dopiero jednak około godziny 9 zaczyna z oddalenia dochodzić odgłos pieśni choralnej. Echo jej coraz bliższe, coraz wyraźniejsze, roztrącane o mury forteczne daleko płynie z wodą wśród wieczornej ciszy....

A tymczasem już zaczynają się wyłaniać z pod sklepień mostu najpierw smugi światła, odbite w gładkiej szybie wody — a za niemi łodzie przystrojone w lampiony i świetlane napisy „Warta,“ „Wisła“ itd.

Ale to tylko przednie straże. Za niemi dopiero wraz z pieśnią wypływa cała w ogniach wielka barka i staje na kotwicy. Zaczynają się produkcye muzyczne i śpiewy, przeplatane hukiem, albo sykiem puszczanych rakiet i innych sztucznych ogni.

Nakoniec po drugim brzegu Warty na wzgórku zaczyna płonąć ognisko i odzywają się dźwięki wiejskich skrzypek. Wysuwają się liczne pary taneczników, które jakby jakieś chińskie cienie wiją się wśród blasków jarko płonącego łuczywa. Uroczy ten obraz rzucony na tle ciemności nocnej, słusznie wywoływał zachwyt publiczności. Każdego mazura, każdego krakowiaka lub oberka, nagradzano hucznemi oklaskami.

I my na tem miejscu szczerze przyklaskujemy pożytecznej narodowej pracy towarzystwa „Stella“, z serca dziękując za te parę mile spędzonych chwil z zadowoleniem estetycznem i narodowem.

S.

W świętojańską noc.

Dziś — dziś się dowiem.

W głuchą, czarną noc letnią powie mi las, czy to prawda...

W głuchą, zaczarowaną noc, kiedy z zapartym oddechem stać będą drzewa.

W zaczarowaną krótką noc, przez którą niebo z pożogi słonecznej nie stygnie.

W jedyną noc, kiedy echo śpi.

Oprócz mnie nie usłyszy nikt — nikt. —

....Pójdę....

Tędy — łąką...

* * *

Nie widzę nic, ale ja wiem, że to tędy...

W chłodną, czarną próżnię wyciągam ręce przed siebie ku tej nieznanej jeszcze prawdzie, w ciemność je wyciągam, ku tej prawdzie, którą mam usłyszeć tej nocy i w sobie zawrzeć na zawsze, a której oprócz mnie nie usłyszy nikt — nikt...

Cisza. Wszystko czeka na coś, — wszystko słucha, nawet kwiaty nie pachną; — boją się oddychać...

Ciemno, ale ja wiem, że to tędy...

Znam przecie tę ścieżkę wązką, wskroś pól biegnącą i czuję rosę, lecącą mi z kłosów na wyciągnięte ręce...

A teraz równia, otwarte pola i szeroki oddech przestrzeni.

Zboża zostały już poza mną...

— — — — — — — — —

Co to?... Ktoś — gdzieś... Organy?... Wyraźnie organy... Tak! Wiem już. — Raz dawno zapadł się kościół — to tu... Woła w głębie... Cicho, cicho, — zejdę, ale nie teraz, aż z lasu wrócę — aż się dowiem...

Zapadły kościół...

Różyce kolorowych okien i promień słońca, przestrzelony przez szkła. Powiędłe, chorągwiane płachty, drgające kryształy pająków, srebrna lampa i czerwony lotus wiecznego płomienia w tej lampie.

Ołtarz, przed którym dawano raz ślub....

Zapadło się wszystko. Zapadło się tak nagle, że promień słoneczny nie zdążył uciec, tylko, jak strzała złota, złamany, zapadł się razem i świeci tam gdzieś w głębi...

Tędy — łąką...

— — — — — — — — —

Czuję wrzosy, gnące mi się pod stopą i woń lasu mnie ogarnia żywiczna.

Łuna spalonych przed wiekami ognisk kupalnej nocy wisi na niebie i czuję w piersi żar przed wiekami pogasłych ogni....

Świąteczny zapach ruty i piołunu, kadzidłowy zapach bylicy i dziewanny, dymna woń obrzędowych ziół dusi mnie za gardło.

Obłędna, krótka noc.

Świętojańska noc!

Dziś — dziś...

Noc, przepalona skwarną pożogą płomiennych upojeń.

Noc, przepojona duszną wonią odwiecznych pożądań, odwiecznych i wiecznotrwałych pragnień, które się ostały w powietrzu, choć proch nie ostał się z tych, który dyszeli niemi — ongiś....

Noc, w którą na siwe głazy uroczyska schodzą stare bogi i radzą,

Noc, w którą wolno rzucać w przestrzeń czarną słowa, jak łzy gorzkie i jak łzy palące,

Słowa szalone, które usta do krwi ranią i na przepadłe lecą,

Słowa bolesne a słodkie, jak ostatnie zapachy jesieni,

Słowa pełne zadławionych jęków, które tylko ta noc ciemna rozumie,

Noc, zatajona w sobie, niema, nadsłuchująca.

Obłędna, krótka noc.

Świętojańska noc.

Dziś — dziś....

— — — — — — — — —

Dziś ze zgliszcz kupalnych ogni wstać może pieśń wielka, porwać się może od ziemi, niezaczęta, nieskończona, niewyśpiewana pieśń!

Duchy ludzkie z ust do ust podają sobie słowa jej nieśmiertelnej treści, słowa pieśni przedwiecznej, przez zawieruchę pędzących stuleci, z cichym deszczem konających godzin lecącej, pieśni, co niezaczęta i nieskończona, gdzieś w głębiach wszechświata o słońca nieznane bije skrzydłami nieobjętej, bezkresnej tęsknoty....

O pieśni ogromna, niewyśpiewana pieśni!

— — — — — — — — — — —

Patrzę w głąb lasu. Stoi głuchy i martwy. Patrzę weń, jak w czarną nawę zapadłego kościoła i chwyta mnie lęk.... Wejść — trzeba wejść....

A jeśli ten las będzie milczał, jeśli mi nie odpowie, jeśli zatai w sobie to, co wiedzieć pragnę?!....

A jeśli ten las będzie mówił, jeśli mi tę pieśń duchów ogromną objawi, jeśli mi oczy blaskiem porazi?! Czy znajdę w sobie dość mocy?....

W dziwnym, jak z pod ziemi bijącym brzasku, smukłe pnie sosen stoją jeden przy drugim, jak zwarte flety organu. O nocy świętojańska,

Obłędna, krótka nocy,

— Mów, czy to — prawda?!

* * *

Dziś — dziś — powiedział mi las, że nie prawda....

W głuchą, zaczarowaną noc, kiedy z zapartym oddechem stoją drzewa, przeleciała nademną ta pieśń czekana, jak stado ptaków ogromnych, których każde skrzydło jest napiętą i na wichrze grającą harfą....

Przeleciała nademną ta pieśń, jak światło szybka i jak światło niepochwycona, nieujęta, przebrzmiała.

Ogromna, nieśmiertelna pieśń!....

W zaczarowaną, krótką noc, przez którą niebo z pożogi słonecznej nie stygnie.

W jedyną noc, kiedy echo śpi.

Oprócz mnie nie słyszał nikt — nikt....

Wrócę...

...Tędy — łąką....

D. mol.

Trzy pióra.

Nademną łabędź leciał
I piór upuścił trzy,
Za dar ten, Bóg ci zapłać,
Wędrowny ptaku ty!

Wypiszę jednem piórem
Jej smutek mój i żal,
Ostatni list napiszę
W nieznaną idąc dal.

Za czapkę zatknę drugie,
Niech w blaskach słońca drga,
Niech ducha we mnie budzi,
Odwagi niech mi da.

A trzecie pióro rzucę
Przed siebie, gdzie wzrok padł,
Niech drogę mi ukaże
W daleki, Boży świat.

Iks.

NA JEZIORZE.

Słonko na błękicie płomieniem się pali
I złociste blaski rozrzuca po fali,
A blaskami temi, w tej ogromnej łunie,
Nasza wątła łódka niby łabędź sunie...

Jezioro spokojne... cisza dookoła,
Tylko skrzyp żórawia wiatr przynosi z sioła,
Tylko z brzegów płyną olch tajemne gwary,
I łódź nasza pluszcze, i szumią szuwary...

Pośrodku jeziora jest kępa zielona,
Trzciną i sitowiem cała osłoniona —
Tutaj, uznojeni, szukamy schronienia,
A czoła nam chłodzą lekkie wiatru tchnienia.

Jak dobrze wypocząć, odetchnąć po znoju,
Jak dobrze się rzucić na łono spokoju,
Nie myśleć o niczem, niczego nie żądać!
I w ciszy na piękność tej ziemi spoglądać!...

Wtem wiatr ugiął trzciny... niebo się zachmurza,
Płochliwa rybitwa w wodzie skrzydła nurza,
W powietrzu się dziwna, świeża woń unosi,
I oto już deszczyk czoła nasze rosi...

Ale pierzchła chmurka; znów jasno dokoła;
Podnoszą się zwolna przygniecione zioła,
A z fali ku słońcu poglądają śmiele
Białe nenufary i żółte grążele.

Na łódź, bracia moi!... Póki wiatr nam sprzyja,
Niechaj się nasz żagiel ku niemu rozwija,
A jeżeli znowu niebo się zachmurzy,
To mamy i wiosła — nie boim się burzy!

Tak i w życiu naszem: kto ma duszę twardą,
Kto na groźby złego pogląda z pogardą —
Nie zginie w zapasach, łódź swoją ocali,
I znów płynąć będzie po spokojnej fali...

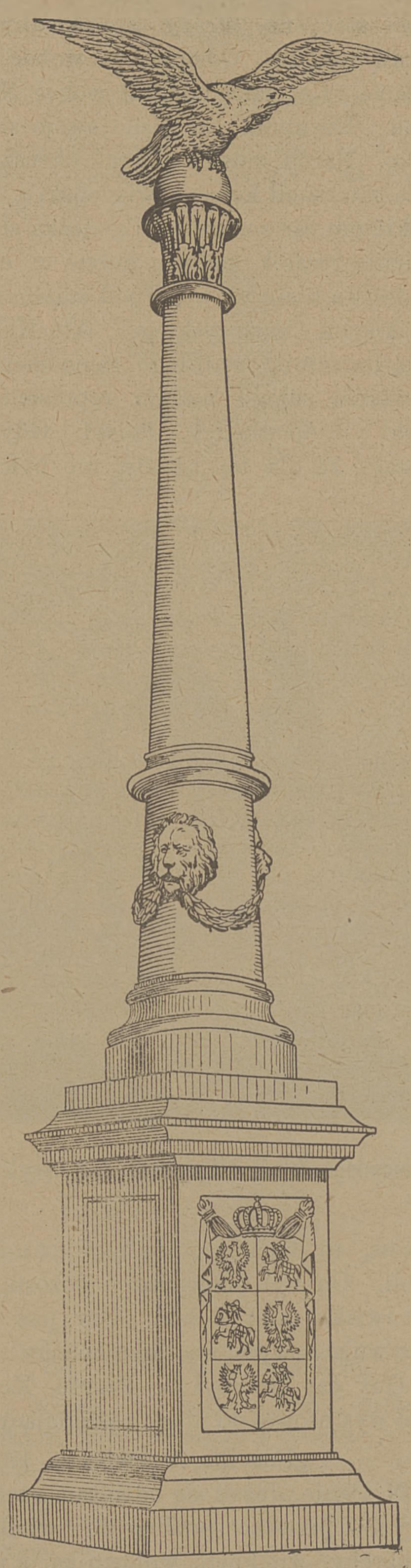
Wiatr wypełnia żagle, łódka mknie jak strzała.
Już kępa daleko za nami została...
Zwolna mrok zapada... szumią w dali drzewa...
— Zanućmyż piosenkę!... Cicho!... Słowik śpiewa...

Leon R.

Tadeusz Kościuszko.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy po upadku Krakowa (15 czerwca) lud podburzony dopuścił się w Warszawie gwałtów, stał się wbrew istniejącym władzom i sędzią i katem wlokącym na śmierć więźniów politycznych; przejawiły się w tym wypadku widoczne, ujemne wpływy rewolucyi francuzkiej. Ale Kościuszko zabolał głęboko i w zarodzie stłumił ten groźny prąd. W odezwie do ludności Warszawy z 29 czerwca, oznajmiając blizki swój przyjazd, powiada: „Spodziewam się, iż nie ujrzę już żadnego śladu tych smutnych wypadków, które mnie dzisiaj goryczą napawają. Obywatele, zastanówcież się. —



Kolumna Kościuszki w Rapperswylu.

Skryte i złośliwe duchy w zmowie z nieprzyjacielem obłąkały was, wzburzyły umysły, bo im tego potrzeba, aby rządu nie było, aby gorącość wasza wyniosła się nad sąd, nad prawo i nad wszelki porządek społeczeństwa, bo wtedy łatwiej im będzie pokonać siłę i dzielność waszą. Sprawiedliwość, a nie gwałt może nam zapewnić byt i znaczenie w oczach ludów całego świata. W imieniu Ojczyzny i na wszystko, cokolwiek wam jest miłem i drogiem, zaklinam was, abyście pamiątkę owych smutnych obłąkań w myśli waszej zatarli. Wiedzcie, że ten nie wart być wolnym, kto prawom krajowym z powolnością nie ulega...

Pod względem polityki zewnętrznej nie miał Kościuszko podczas powstania pola do działania. Zaznaczyć tylko należy, że zmuszony walczyć z Prusami i Rosyą, usiłował przynajmniej zapewnić sobie neutralność trzeciego sąsiada. W tym to celu listem okólnym z 20 kwietnia najsurowiej zalecił nietykalność granic austryackich. Dopiero później, już na wygnaniu, nie przestając nigdy zajmować się sprawami Ojczyzny, szuka on sposobności do skutecznego jej służenia w zakresie polityki. Patryotyzm i rozum stanu, a może nawet dziwny instynkt prawej duszy sprawiły, że przez całą dziejową dobę legionów i wypraw na Rosyę, Kościuszko pozostał na boku, poza widownią polityki i nie mieszał się do owej zdumiewającej epopei wojennej. — Był on może jedynym z Polaków ówczesnych, który nie wierzył Napoleonowi, nie wierzył egoiście, którego umysł obłąkała pycha; nie olśnił go wojenny geniusz, nie oczekiwał zgoła żadnego trwałego i godnego skutku ofiar i zaufania Polaków do przewrotnego bożka wojny. Mimo nalegań odmówił stanowczo swoich osobistych usług i odmówił swojej firmy. Nie chciał brać żadnej odpowiedzialności ani urokiem swojego nazwiska powiększać tego czaru, pod którego mocą naród pozostawał.

To usunięcie się Kościuszki było wynikiem dwóch powodów. Napoleonowi nie ufał, ale z drugiej strony miał to smutne przekonanie, że wogóle rachuby na cudzą pomoc, na ratunek zewnętrzny bez własnego, skutecznego przyczynienia się narodu muszą zawsze zawieść. Doświadczył on sam zawodu, gdyż udział narodu w powstaniu nie dorósł do koniecznych wymagań, do tej cnoty i jednomyślności, jakich on w odezwach swoich wymagał. On widział, na co się zanosi: że naród będzie składać wielkie ofiary krwi i mienia, poświęceń i odwagi, ale że dzielności wojennej, oddanej pod cudze rozkazy, nie odpowie dojrzałość polityczna. On widział, że naród nie zdobędzie się na polityczną wobec Napoleona samodzielność, a jego wojenna wysługa będzie nadużytą. Dzisiaj wiemy wszyscy, że Napoleon frymarczył — a nawet w sposób dla siebie samego najzgubniejszy — losami narodu polskiego, tak jak innych krajów i koron. Wówczas jeden Kościuszko nie uległ oszołomieniu. Na nalegania ministra Fouché wręcz oświadczył: „Dopóki nie ogłosicie otwarcie pewnej rękojmi względem narodowego rządu Polski i dawnych jej granic, dopóty nie będę mieszał się do spraw waszych.“ Miał on prawo i miał

obowiązek trzymać się na uboczu, oczekując, ażby przyszedł czas właściwy dla niego. Nie doczekał się tej sposobności, ale imienia jego nadużyto, skoro pod datą 1 listopada 1806 kazał Napoleon wydrukować proklamacyę z jego podpisem. W Berlinie oznajmił Napoleon deputacyi z Wielkopolski również wprost kłamstwo dla oszukania Polaków. Powiedział on: „Kościuszko przyjedzie, choć słaby, kazałem, aby go jak najwygodniej wieziono; już się z nim wprzód umówiłem i Kościuszko sam na to się zgodził, iż kiedy nie można mieć rzeczy według życzenia, lepiej zawsze osięgnąć cokolwiek.“ Kościuszko pismem z 22go grudnia 1806 do ministra Fouché zaprotestował przeciw oszustwu popełnionemu na odezwie z jego nazwiskiem. Pismem zaś z 22 stycznia 1807 podał warunki

współdziałania swojego: „Gdyby J. C. Mość raczył zapewnić na piśmie, i potem publicznie, że: 1 forma rządu w Polsce będzie taka jak w Anglii — 2. że chłopi będą wolni i otrzymają na własność teraźniejsze swoje posiadłości -- 3. że granice Polski rozciągać się będą od Rygi do Odessy z jednej, a od Gdańska do Węgier z drugiej strony z zamianą za Galicyę.... wtedy natychmiast wyjadę....“ Wiadomo, że Napoleon na żadne jasne, uczciwe, sprawiedliwe, prawdziwie wielkie projekta nigdy się nie zgodził. Więc też Kościuszko nie zaprzągł się do jego rydwanu.

Dopiero po upadku Napoleona wystąpił ze swojego zacisza. Oddał on wtedy cześć zwycięzcy, carowi Aleksandrowi I, który grał wówczas jeszcze rolę filantropa, filozofa, liberała, zbawcy ludzkości. Kościuszko wiedział, że człowiek ten próżny będzie się czuł wielce zadowolonym, jeżeli się będzie mógł chełpić zaufaniem i przyjaźnią Kościuszki. Chciał Kościuszko skorzystać ze słabości tego cara, więc wstawił się za wojskiem polskiem i podniecał ambicyę cara. Epizod ten skończył się dla Kościuszki także głębokim smutkiem i zawodem. Z dokumentów rozpoznać można, że on się nie łudził, ale uważał to za swój obowiązek, żeby stać na straży sprawiedliwości i praw narodu. Odegrał on wobec cara tę samą rolę, jaką odegrał wobec Napoleona. Rozumiał on jasno swoje stanowisko. Naród musiał zbierać okruszyny, jakie mu rzucił kongres wiedeński r. 1815 i jakie mu car zostawił. Tę ciężką służbę ocalenia resztek pełnili ludzie z epoki Królestwa kongresowego pod sterem księcia Adama Czartoryskiego. Ale Kościuszko, naczelnik ostatniego, samodzielnego powstania całego narodu reprezentował całość i niepodległość Polski. Gdy się okazało, że dla tej nadziei nie było wi-



Jenerał Bem w otoczeniu sztabu w Siedmiogrodzie. (Malował Jan Styka.)

doków, to dla niego nie było już miejsca i roli. On był obowiązany pozostać na stanowisku całej Polski. Oto jest przekonywująca wymowa dokumentów:

Gdy car przybył do Paryża, Kościuszko wystosował do niego następujący list:

„Berville, 9 kwietnia 1814.

N. Panie. Jeżeli się odważam z mojego ukrycia przesłać prośbę do wielkiego monarchy, wielkiego wojownika, a nadewszystko protektora ludzkości, to powodem jest jego szlachetność i wielkoduszność, które mi są dobrze znane. Proszę o trzy łaski:

Pierwszą jest przyznanie generalnej amnestyi Polakom, bez restrykcyi, oraz, żeby włościanie rozprószeni w krajach obcych uważani byli jako wolni, jeżeli wrócą do swoich ognisk.

Druga, żebyś N. Panie ogłosił się królem Polski, mającej swobody konstytucyjne, zbliżone do angielskich, żebyś kazał zakładać i utrzymywać kosztem rządu szkoły dla oświaty włościan, żeby ich poddaństwo zostało w ciągu dziesięciu lat zniesione, żeby ich ziemie oddano im na pełną własność. Jeżeli prośby moje będą wysłuchane, pospieszę, lubo chory, rzucić się do nóg Twoich, N. Panie, żeby Ci podziękować i pierwszy oddać cześć, jako mojemu władcy. Jeżeli moje słabe talenta mogą się jeszcze na co przydać, pojadę natychmiast połączyć się z rodakami, żeby służyć Ojczyźnie i mojemu władcy z honorem i wiernością.“

(Trzecia prośba dotyczyła zaopatrzenia przyjaciela Zeltnera, niegdyś ambasadora szwajcarskiego w Paryżu.)

Car miał odwagę odegrać komedyę odpisując następnym listem:

„Paryż, 3-go maja 1814.

Jenerale. Odczuwam wielkie zadowolenie, odpowiadając na list pański. Pańskie najdroższe życzenia są spełnione. Z pomocą wszechpotężnego Boga spodziewam się dokonać odrodzenia dzielnego i szanownego narodu, do którego należysz. Przyjąłem w tej mierze uroczyste zobowiązania wobec narodu, którego szczęśliwość zajmowała zawsze moje myśli. Jedynie okoliczności polityczne stawiały przeszkody wykonania moich zamiarów. Trudności te już nie istnieją. Dwa lata walki strasznej, ale sławnej usunęły je. Jeszcze nieco czasu i postępowania rozumnego, a Polacy odzyskają Ojczyznę, tytuł, a ja będę mieć tę radość, że ich przekonam, iż zapominając o przeszłości, ten, którego mieli za nieprzyjaciela, urzeczywistni ich pragnienia. Jakiemż to będzie dla mnie zadowoleniem widzieć Cię, jenerale, moim pomocnikiem w tych zbawczych pracach. Twoje imię, Twój charakter, Twoje talenta będą mojem najlepszem oparciem.

Aleksander.“

Trudno wierzyć własnym oczom, czytając to pismo. Ale Kościuszko obowiązany był opierać się na tym dokumencie, a zresztą mógł przypuszczać, że car, udający Europejczyka, będzie widział istotny interes Rosyi w tem, czego on się od niego domagał. W Paryżu car ściskał i całował Kościuszkę i układał z nim szczegółowo całe przyszłe urządzenie Polski, formę rządu i reformy społeczne. Więc pospieszył potem Kościuszko do Wiednia na słynny kongres i tam zgłosił się do cara z ponownym listem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

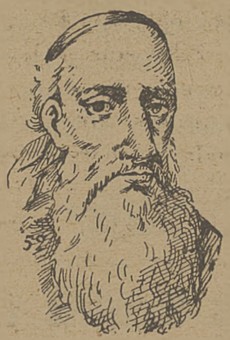
Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Prymasi.

(Ciąg dalszy.)

52. STANISŁAW I KARNKOWSKI,

herbu Junosza, objął rządy archidyecezyi w r. 1582, umarł w Łowiczu r. 1603, pochowany w Kaliszu, gdzie ma pomnik.

Urodzony z ubogich rodziców, chociaż miał w rodzinie senatorów, pracował usilnie, aby zdobyć sobie stanowisko. W tym celu jeździł do Włoch, gdzie został doktorem świętych kanonów w akademii w Perugii. Wróciwszy do kraju został najpierw w r. 1559 kononikiem, potem kustoszem, wreszcie kantorem gnieźnieńskim. Lubiony przez Kardynała Hozyusza, doszedł najwyższej w Polsce duchownej godności.



Stanisław I Karnkowski.

Był to bardzo gorliwy Biskup i przywiązany szczerze do kraju, a gdy za rządów jego obyczaje nie były wcale wzorowe, lecz przeciwnie duchowieństwo zaczęło się oddawać rozpuście, Karnkowski z całą energią mu właściwą podtrzymywał karność duchowieństwa i surowe, gdzie trzeba było, nakładał kary. Przezwano go też Cenzorem równocześnie i Katonem.

Koronował Annę Jagiellonkę i Stefana Batorego, po którego śmierci był interrejem od r. 1586—7. Pisał bardzo wiele przez całe swoje życie. Bardzo ważnym dla dziejów Polski jest zbiór jego listów, które sam pisał i odbierał od Papieży, cesarzów, królów książąt i Biskupów. Pisał o prawie ziem i miast pruskich, historyą bezkrólewia po Henryku Walezym i rys dziejów Zygmunta Starego.



53. JAN IX TARNOWSKI,

herbu Rola, urodzony w r. 1550, syn Piotra, chorążego łęczyckiego, w r. 1582 kanonik krakowski i referendarz koronny, w 1597 Biskup poznański, został Arcybiskupem gnieźnieńskim w r. 1603. Umarł w Łowiczu 14 października w r. 1603 i tam pochowany.

Wychowany starannie, kształcił się później w Włoszech, zkąd wróciwszy, dostał się na dwór Prymasa Karnkowskiego, który go polecił Stefanowi Batoremu. W r. 1581 podkanclerz koronny, wybitną odegrał rolę w znanych długich, a zaciętych walkach pomiędzy dwoma potężnemi stronnictwami kanclerza Zamoyskiego i Radziwiłłów, którzy wraz z królem lgnęli do rakuskiego domu.

54. BERNARD MACIEJOWSKI,

herbu Ciołek, synowiec Samuela Maciejowskiego, urodzony w r. 1548, Kardynał w roku 1604 i w tymże roku Arcybiskup gnieźnieński, umarł w Krakowie r. 1608 i tam pochowany.

Najuboższy człowiek miał do niego zawsze przystęp i sam jeździł po chorych z św. Sakramentem. Protegowany bardzo przez OO. Jezuitów równą miarą im odpłacał. Da-



54. Bernard Maciejowski.

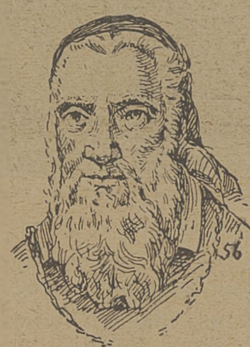
wał ślub Dymitrowi Samozwańcowi z Maryną Mniszchówną w Krakowie. Na pogrzebie jego był król i królowa.



55. WOJCIECH II BARANOWSKI,

herbu Jastrzębiec, w r. 1585 Biskup przemyślski, podkanclerzy koronny, w r. 1608 Arcybiskup gnieźnieński; umarł w Łowiczu r. 1615, pochowany w Gnieźnie.

Urodzony z bardzo ubogiej rodziny, był gorliwym Biskupem. Protegowany przez Zamoyskiego miał ztąd wielu nieprzyjaciół. Za Klemensa VIII był w Rzymie, hojnie tam podejmowany, gdyż za bytności Klemensa w Polsce pod nazwiskiem Aldobrandiniego, żył z nim na poufnej stopie. Za jego rządów spaliła się katedra gnieźnieńska, którą zaraz kazał restaurować.



56. WAWRZYNIEC GEMBICKI,

herbu Nałęcz, urodzony r. 1559, proboszcz osiecki, r. 1594 sekretarz królewski, r. 1600 Biskup chełmiński, r. 1609 kanclerz wielki koronny, r. 1616 Arcybiskup gnieźnieński; umarł w Łowiczu roku 1624, pochowany w Gnieźnie.

W dzieciństwie chorował bardzo ciężko, ale ofiarowany N. P. Maryi, prawie cudem ozdrowiał i od tego czasu serdeczną pałał miłością do Matki Boskiej. Kształcił się w szkole Lubrańskich w Poznaniu, gdzie celował nauką. To też gdy Henryk Walezy przejeżdżał przez Poznań do Krakowa, miał do niego mowę powitalną w imieniu uczniów zakładu. Posłany był potem do akademii w Ingolsztadzie i zwiedziwszy Niemcy, wrócił do Polski. Posłował do Rzymu w roku 1595, kanclerzem koronnym był w r. 1609 na sejmie w Warszawie. Porywał wymową i do łez pobudzał, a zwycięztwo chocimskie uwiecznił w kościele, bo Grzegórz XV pozwolił w dniu 10 listopada obchodzić uroczystem nabożeństwem rocznicę bitwy pod Chocimem.



57. HENRYK FIRLEJ,

urodzony z Jana Firleja, wojewody krakowskiego i marszałka wielkiego koronnego, herbu Lewart, prałat domowy Ojca św., hrabia rzymski, protonotaryusz papiezki, w r. 1598 sekretarz królewski, podkanclerzy koronny, Biskup łucki i płocki, został Arcybiskupem gnieźnieńskim w r. 1624. Umarł w r. 1626 w Skierniewicach, pochowany w Łowiczu, gdzie ma nagrobek.

Ojciec jego był głową dysydentów, ale wpływy matki, która była wielką przyjaciółką Kościoła, przeważyły w młodym Henryku. Do chrztu św. podawał go Henryk Walezeusz, który jadąc na koronacyę do Krakowa, zatrzymał się w Balicach, zaproszony przez ojca, wielkiego marszałka koronnego. Wysłany do Rzymu na nauki, cieszył się względami Papieża Klemensa VIII, który jako nuncyusz papiezki bywał w Polsce i znał rodzinę Firlejów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jan Kasprowicz.

Szkic literacki.

Napisała Róża Erzepkowa.

(Dokończenie).

Dumy tej, że i on rzucił „plonne ziarna, z których wzrosną pęki zbóż,“ nie zatraci poeta i pieśni swej nie zaprzeda za żadną cenę — on miałby zaprzeć się siebie

„Trubadurem być? u pańskich —
 U bankierskich stawać bram?
W duszy, którą Bóg wykąpał
 W swych płomieniach, gasić wstyd
Za trzos złota? Za kwiat róży
 Z białej ręki strojnych dam,
Od gorących łon odpięty?
 Za lokajów miękki byt?

Co? w pochlebstwa płynne rytmy
 Krew serdeczną zmieniać nam?
Łaskotliwie piać ballady?
 Baczyć, trwożnie, aby zgrzyt
Z rozstrojonych oburzeniem
 Harf nie trysnął......
. . . . ,
. . . .“

To nie dla niego! Pieśni bronić, pieśni służyć będzie on do ostatniego tchnienia, tem więcej, że tej pieśni smętno dziś i samotno, bo

„...Ten świat co od wielbiących
 Swoją moc, jak pszczeli ul
Tak się roił, dziś jest pusty.....“

Pusty, bo nie rozumie dzisiejszych pieśniarzy — a zarzutów im nie szczędzi. Z jaką goryczą odpiera je poeta:

„My — przeżyci?... My, jak kwiaty,
Które wczesny zwarzył mróz?
My powiędłą mamy duszę
Śród zapadłych, ciasnych łon?
A tak chwiejną, rozwichrzoną,
Jak korony białych brzóz,
W które wicher z deszczem wali?
Wątły będzie jutro plon.

Naszej siejby?... Nie przeżyci!...
Naszą pierś rozdziera ból,
Lecz w tym bolu nie wyczerpań,
Nie rozkładu mieszka jad:
Życie drga w nim mocą mocy,
Co wśród smutnych idzie pól
Chmurnie, groźnie i stanowczo,
By stracony zdobyć świat.



Malarz Juliusz Zuber.



Opowiadanie urlopnika.

Idzie cicha.. Nie dźwięk fanfar,
Nie tryumfów głośny wrzask
Towarzyszy jej w tej drodze....
Idzie skromna i na twarz
Nie przywdziewa ni proroków
Ni kapłanów dumnych masek.

Idzie jako prosty żołnierz...
W szarym płaszczu... Idzie w dal
Niewstrzymana... bo iść musi,
Choć ma jęk za przednią straż,
A za sobą melancholię
I tęsknicę, cień i żal..."

„Krzak dzikiej róży" zamyka fantazya „Na wzgórzu śmierci." Utwór ten zawiera pierwszorzędne piękności językowe i uderza wielką siłą obrazowania i charakterystyki, że wspomnimy tylko nader śmiały, nie cofający się dla wierności przed niczem opis wstrętnego zepsucia i rozpasania tłumu żydowskiego, lub przedziwnie oddaną podłość i przewrotność sędziów rzymskich w scenie czytania wyroku.

„Na wzgórzu śmierci" czyli na Golgocie dusza wygnana z raju walczy ze sobą — czując szkaradę swego grzechu. Widok Chrystusa idącego cicho na śmierć — za nią — wzrusza ją — pragnie wyzwolić się z pęt szatana — w walce tej jednak upada. Taka jest osnowa w głównym zarysie.

Nie zatrzymujemy się nad nią dłużej, bo nie czujemy się po prostu na siłach, by roztrząsać temat tak śmiały.

Na tem kończymy. Dla ścisłości dodać jeszcze należy, że utwory, o których tu krócej lub obszerniej pisaliśmy, nie stanowią całego dorobku poetyckiego Kasprowicza.

Wspomnieć jeszcze trzeba poemat religijno-społeczny: „Chrystus", (wyd. we Lwowie 1890) dramat z życia ludu wielkopolskiego p. t.: „Świat się kończy" (Lwów, 1891), i wreszcie ogólnie znane przekłady z angielskiego, niemieckiego i w ostatnim czasie także francuzkiego języka.

A Napierski?!

Napierski? Za nadto jeszcze jesteśmy pod urokiem „Janosika" — za nadto silnie jeszcze czar poezyi wiejący z ostatniego poematu Kasprowicza serce na uwięzi trzyma, aby wrażenia doznane skrystalizować się już mogły w jasną krytyczną ocenę, kończymy zatem — lecz koniec to tylko naszej pracy a nie koniec poetyckiej drogi Kasprowicza.

Jeszcze do złotych z poezyą godów daleko! Wierzymy, że poeta niejednem jeszcze arcydziełem zbogaci piśmiennictwo nasze.

Na pomnik Murawiewa w Wilnie.

Litwo! Polski siostrzyco prawdziwa,
Wespół cierpiąca straszny los niewoli
Znów Cię dotknęła wraża ręka mściwa
Chcąc zadać ranę, co najbardziej boli.
Za to że nosisz kajdany z godnością,
Nie chcesz odstąpić Ojców swoich Wiary,
Że się nie ruszczysz, wróg ziejący złością
Obmyślił na Cię nowy rodzaj kary,
By Cię wciąż dręczyć na myśl o swobodzie,
Choć myśli takiej, jarzmo nie rozwiewa
W prastarym Twoim Gedymina grodzie
Zbudować kazał posąg Murawiewa.
Straszne to imię, ale straszne wstrętem,
Straszne odrazą, co budzi się w duszy,
Że człowiek zbrodni może być odmętem
Co podwaliny człowieczeństwa kruszy,
Idąc, choć pod hasłem siła przed prawem,
By oręż wytrącić z litewskiej dłoni
Wszak mógł, jak wódz-żołnierz,
W spotkaniu krwawem
Pokonać wroga za dobycie broni.
On wolał na się przyjąć rolę kata,
Dzikich kozaków puścił na harce,
Więc na ofiarę wpadał brat za brata,
Kobiety, dzieci i bezbronne starce.
Zbrodniami rozsiał płacz i jęk dokoła,
Rabować kazał i biednych krwawić,
Podpalać domy, pałace i sioła,
I Krzyże ścinać, wznosić szubienice —
Dziś ten herszt zbójców pośród Rusinów
Ma swych czcicieli, co mu pomnik wznieśli,
Posiadł wyznawców krwawych swoich czynów,
Którzy je mianem bohaterstwa głoszą,
Lecz choć ten pomnik groźby przypomnieniem,
Litwo! przed groźbą nie uchylaj czoła
I nie zatruwaj Duszy swej zwątpieniem,
Niech w Niej proroczo głos otuchy woła:
Biada zwycięzcom, gdy im zaślepienie
Pychę i przemoc jako bóstwa wcieli,
A zwyciężonych hartuje cierpienie,
Oni w swych synach mieć będą Mścicieli.

Warszawiak.

Piękność Biłgorajanek.

Baśń sobótkowa.

Skreśliła *Ignacya Piątkowska.*

„Łado, Łado, o Kupało, oby nam się dobrze działo.“

Brzmiały pieśni sobótkowe, drgały tańce, stos płonął, dziewczęta ujęły się za ręce i nuciły pieśni, młodzież w pląsach przesadzała płomienie. Noc czarów, noc świętojańska zbliżała się Las oddychał wonią spalonych żywic, zapachem drzew, słowik nucił w zaroślach, a szmer i pieśń ludzi tłumiły jego tony. Na lustrzanej tafli strumyka kołysały się lilje wodne, złociste i białe nenufary, świtezianki błękitne, ważki złociste unosiły się, współzawodnicząc z motylami barwnemi, ostatni promień słońca padł na ziemię, a po nad rzeką uśpiła się skrzydlata rzesza. Entuzyazm ludu wzrastał, ognie sobótkowe płonęły tylko na wyniosłym pagórku. U stóp wizerunku św. Jana strojąc go w kwiaty klęczała młoda dzieweczka. Serce jej przepełniał żal bezgraniczny. W tanecznem kole opodal w gronie uczestników sobótkowego święta był on — ten, któremu oddała swe serce, wiedział o jej bezgranicznem przywiązaniu do siebie, ale pokochać jej nie chciał.... bo była brzydka.

Dzień sobótkowy ochoczo gromadził wieś całą na polach — jej jednak żal rozrywał serce, i tu, u stóp posągu świętego, wylewała łzy gorzkie i modlitwy, aby Bóg ulitował się nad nią. Naraz, zdało się dziewczęciu jakoby usłyszała głos „wstań i wykąp się w rzeczce, a potem idź się bawić z innemi.“ Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, z oczami mokremi od łez wstała spiesznie, pobiegła do strumyka, umyła twarz swą i zgodnie z tajemniczym rozkazem podążyła do rówieśnic złączonych barwnem kołem. Ukazanie się dzieweczki olśniło wszystkich. Zaledwie z głosu, i pewnego podobieństwa poznano w niej niegdyś brzydką Praksedę. Twarz jej wyszlachetniała, oczy nabrały przedziwnego blasku, ruchy lekkości powiewnej. Była piękniejszą, bardziej uroczą niż wszystkie jej rówieśnice. Skoro zbliżyła się do ukochanego, ten zapałał do niej głębokiem uczuciem miłości a nawet dziw się stał taki, że którą z dziewcząt ujęła za rękę, wnet nabierała i ta przedziwnego uroku piękności. Odtąd też w okolicach Biłgoraja znaną jest piękność ludu, a w szczególności kobiet. A gdy która z nich wypadkiem jest brzydka, czeka tylko kupalnej nocki a skoro się w rzeczce wykąpie, staje się piękną niby kwiat liji białej.

Na górach płoną ognie, suną postacie barwne, mienią się, łączą w fantastyczne koła, a oczy piękne niby gwiazdy spoglądają ciekawie. Kto dał ten wdzięk przedziwny garstce tego ludu? pyta podróżny: To nocka kupalna, i cudowna świętojańska woda, odpowiadają wieśniacy — i na potwierdzenie legendę opowiedzianą przez nas powtarzają.

Wezwanie.

Gdy noc, woniami duszna i parna,
Makowe w koło rozrzuci ziarna,
A z mokrych jarów ciszy głębokiej
Strach się podniesie w mgle — wielkooki,
Za kwiatem szczęścia błądzić daremno
Pójdziesz ty ze mną?
W las, po upalnym dniu nie ostygły,
W las, świerkowemi wysłany igły,
W tę noc czerwcową, głuchą, tajemną,
Kędy wśród smukłych, żywicznych pni
Najkrótszej nocy bajka się śni,



W noc Świętojańską, milczącą, ciemną
Pójdziesz ty ze mną?
Deszcz chłodnej rosy otrząsać z liści
W zaczarowany, uśpiony bór,
W gąszcz paprociowych wilgotnych piór,
W tę noc czerwcową, głuchą tajemną —
Choć żaden z naszych snów się nie ziści,
Choć wiesz, że będziem błądzić daremno,
Czy pójdziesz ze mną?! —

Zawrat.

WIANKI.

Narodzona w pięknych górach,
Których szczyty obłok chowa,
Płynie krajem urodzajnym
Wielkopolskich rzek królowa...
Płynie zwolna po przez łany,
Gdzie się pszenny kłos kołysze,
Po przez łąki, po przez lasy,
Upowite w błogą ciszę.
Po wybrzeżach lud dorodny
Przędzę życia dzielnie snuje
I w swą Wartę ukochaną
Niby w macierz się wpatruje.
A gdy przyjdzie lato cudne
I zakwitnie polne kwiecie,
Młode dziewczę płowowłose
Tam z bławatków wianek plecie.
Plotąc wianek roi w dumach
Zakutego w stal rycerza,
I ten wianek i te dumy
Szarej fali wód powierza.

* * *

Wianki, wianki!... Zna je dobrze
Rozbawiony gród Poznania,
Szara Warta, jak zaklęta,
Cała w ogniach się odsłania.
Na jej falach świateł cudnych
Rozgorzało dziś tysiące,
Niby w nich się przeglądają
Gwiazdy, w niebie jaśniejące.
Na wybrzeżu gwar, wesołość,
Tłum się wije wstęgą krętą —
Boć to wianki, nasze wianki,
Szarej Warty wielkie święto.
Płyną wianki, falą gnane,
Pilnie śledzą ruch ich młodzi:
Czy połączą się ze sobą,
To ich tylko dziś obchodzi...

* * *

Na wybrzeżu gwar, wesołość,
Tłum się wije wstęgą krętą —
Boć to wianki, nasze wianki,
Szarej Warty wielkie święto...

23. 6. 1900. *W.*

W cyrku Nerona.

(Patrz illustracyą.)

.....Jakoż nie czekano już długo. Nagle ozwał się przeraźliwy głos mosiężnych trąb, a na ów znak otworzyła się krata naprzeciw cesarskiego podium i na arenę wypadł wśród wrzasków bestiarów potworny tur germański, niosący na głowie nagie ciało kobiece.

— Lygio! Lygio! — krzyknął Winicіusz.

Poczem chwycił rękoma włosy przy skroniach, zwinął się w łęk, jak człowiek, który uczuł w sobie ostrze włóczni, i chrapliwym, nieludzkim głosem począł powtarzać:

— Wierzę! wierzę!.. Chryste! cudu!!

I nie czuł nawet, że w tej chwili Petroniusz zakrył mu głowę togą. Zdawało mu się, że to śmierć lub ból przesłania mu oczy. Nie patrzył, nie widział. Ogarnęło go uczucie jakiejś strasznej próżni. W głowie nie pozostała mu ani jedna myśl, usta tylko powtarzały, jak w obłąkaniu:

— Wierzę! wierzę! wierzę!..

Wtem amfiteatr umilkł. Augustianie podnieśli się, jak jeden człowiek z miejsc, gdyż na arenie stało się coś nadzwyczajnego. Oto pokorny i gotowy na śmierć Lyg, ujrzawszy swą królewnę na rogach dzikiej bestyi, zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem i pochyliwszy grzbiet, począł biedz pod kątem ku rozszalałemu zwierzęciu.

Ze wszystkich piersi wyrwał się krótki okrzyk zdumienia, po którym uczyniła się głucha cisza: Lyg dopadł tymcza-

sem w mgnieniu oka rozhukanego byka i chwycił go za rogi.

— Patrz! — zawołał Petroniusz, zrywając togę z głowy Viniciusza.

Ów zaś podniósł się, przechylił w tył swą bladą, jak płótno twarz i począł patrzeć na arenę szklistym, nieprzytomnym wzrokiem.

Wszystkie piersi przestały oddychać. W amfiteatrze można było usłyszeć przelatującą muchę. Ludzie nie chcieli wierzyć własnym oczom. Jak Rzym Rzymem, nie widziano nic podobnego.....

Lyg trzymał dzikie zwierzę za rogi. Stopy jego zaryły się wyżej kostek w piasek, grzbiet wygiął mu się jak łuk napięty, głowa schowała się między barki, na ramionach muskuły wystąpiły tak, iż skóra niemal pękała pod ich parciem, lecz osadził byka na miejscu. I człowiek, i zwierz trwali w takiej nieruchomości, iż patrzącym zdawało się, że widzą jakiś obraz, przedstawiający czyny Herkulesa lub Tezeusza, lub grupę wykutą z kamienia. Ale w tym pozornym spokoju znać było straszliwe natężenie dwóch zmagających się ze sobą sił. Tur zarył się, również jak człowiek, nogami w piasek, a ciemne, kosmate jego ciało skurczyło się tak, iż wydawał się do olbrzymiej kuli podobny. Kto pierwej się wyczerpie, kto pierwszy padnie, oto było pytanie, które dla tych rozmiłowanych w walkach widzów, miało w tej chwili więcej znaczenia, niż los ich własny, niż cały Rzym i jego panowanie nad światem. Ów Lyg był im teraz półbogiem, godnym czci i posągów. Sam Cezar wstał także. Oni z Tigellinem, słysząc o sile człowieka, umyślnie urządzili takie widowisko i, drwiąc, mówili sobie: „Niechże ten Krotobójca pokona tura, którego mu wybierzem“, teraz zaś spoglądali w zdumieniu na obraz, jaki mieli przed sobą, jakby nie wierząc, żeby to być mogła rzeczywistość. W amfiteatrze można było widzieć ludzi, którzy podniósłszy ręce, zostali w tej postawie. Innym pot oblał czoła, jakby sami zmagali się ze zwierzęciem. W cyrku słychać było tylko syczenie płomieni w lampach i szelest węgielków, opadających z pochodni. Głosy zamarły widzom w ustach, serca natomiast biły w piersiach, jakby je chciały rozsadzić. Wszystkim wydało się, że walka trwa wieki.

A człowiek i zwierz stali ciągle, w okropnem wysileniu, rzekłbyś wkopani w ziemię.

Wtem głuchy, podobny do jęku ryk ozwał się z areny, po którym ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk i znów zapadła cisza. Ludzie mniemali, że śnią: oto potworna głowa byka poczęła się przekręcać w żelaznych rękach barbarzyńcy.

A twarz Lyga, kark i ramiona poczerwieniały, jak purpura, grzbiet wygiął się jeszcze silniej. Widać było, że zbiera resztę swych nadludzkich sił, ale że mu już ich nie na długo wystarczy.

Coraz głuchszy, chrapliwszy i coraz boleśniejszy ryk tura pomieszał się ze świszczącym oddechem piersi olbrzyma. Głowa zwierzęcia przekręcała się coraz bardziej, a z paszczy wysunął się długi spieniony język.

Chwila jeszcze i do uszu bliżej siedzących widzów doszedł jakby trzask łamanych kości, poczem zwierz zwalił się na ziemię ze skręconym śmiertelnie karkiem.

Wówczas olbrzym zsunął w mgnieniu oka powrozy z jego rogów i wziąwszy dziewicę na ręce, począł oddychać śpiesznie.

Twarz mu pobladła, włosy polepiły się od potu, barki i ramiona zdawały się być zlane wodą. Przez chwilę stał jakby nawpół przytomny, poczem jednakże podniósł oczy i począł patrzeć na widzów.

A amfiteatr oszalał........

(„Quo vadis.“ — Tom III. Rozdział XXIII.)



W „Cyrku Nerona.“ (Malował H. Siemiradzki.)

W noc Świętojańską.

W północną ciszę
Las wonią dysze,
Czar zwodnych marzeń opada;
Księżyc zagadki po ziemi pisze,
W gąszczu się szepty podnoszą: biada!

I tajemnicze
Błyska oblicze
Boginek, strachów, potworów —
Snują się w cieniach mary zwodnicze
I złażą duchy poczwarne borów...

I tajne płyną
Szepty gęstwiną
W noc świętojańską, szarą,
Jakby z tą jedną cudów godziną
Każde się drzewo stawało marą...

I stąpa cicho
Po lesie licho
Zaciska zęby i pięście, —
Niech się nie waży
Z pod duchów straży
Człek zerwać przypadkiem szczęście!...

* * *

Palmy sobótki,
Bo wieczór krótki —
Niech ogień ze stosu bucha,
Wrzućmy weń troski życia i smutki,
Odświeżmy serce, odmłódźmy ducha,
Palmy sobótki!...

Po zgłuchłym lesie
Niech echo niesie
Pieśń pełną głosu i mocy,
Po smukłych sosnach, po dębach pnie się,
Niech ją pod gwiazdy miesięcznej nocy
W niebo zaniesie!...

Zwijajmy wianki
Z róż, macierzanki —
Z zielonej ruty po łące,
Polnego kwiecia wdzięczne posłanki,
Niech płyną badać losy milczące,
Zwijajmy wianki!...

Niech paproć cicha
Namiętnie wzdycha
I do stóp dębów się kłoni,
Pod duchów strażą z zazdrosną twarzą

Wątły kwiat szczęścia niech zroni,
Co wraz usycha!...

My stos narzućmy
I pieśń zanućmy
Na mchów zielonym kobiercu!
Sobótka jasnych duchów niech płonie:
Kwiat szczęścia nie w lasów łonie,
Lecz w ludzkiem zakwita sercu!...
23. VI. 1900.

n.

mnie bić, jakiś ciężki ból opanował wszystkie członki moje. Gdyby w tej chwili rzucił się na mnie, nie byłbym w stanie nawet poruszyć się. Zresztą byłem zupełnie bezbronny, nie wziąłem z sobą nawet rewolweru, z którym rzadko rozstawałem się.

Powoli strach przechodził. Zacząłem myśleć o ocaleniu. Ostrożnie podniosłem się i odszedłem w zarośla, chcąc ukryć się przed strasznym zwierzem. Wiedziałem, że ucieczka do niczego nie doprowadzi, tygrys dopędziłby mnie trzema skokami....

Tymczasem olbrzymi zwierz, nachylony nad strumieniem, gasił spokojnie pragnienie. Zacząłem nabierać otuchy, myśląc, że po zaspokojeniu pragnienia zwierzę odejdzie w puszczę, nie spostrzegłszy mnie.

Na nieszczęście, z nad głowy mojej zerwał się jakiś ptak. W jednej chwili czujne zwierzę zwróciło się w moją stronę... Spostrzegł mnie, widziałem to po kocich ruchach, z jakiemi drapieżny zwierz zbliżał się do mnie...

Znów strach opanował mnie: czułem, że niema na świecie siły, która mogłaby mnie ocalić... Tygrys powoli i ostrożnie zbliżał się do mnie, był już najwyżej o 5 sążni. Nagle, jak błyskawica, przyszła mi do głowy myśl o welocypedzie.

Zrobiłem olbrzymi skok, w jednej sekundzie byłem już na siodle i pędziłem naprzód, bez zastanowienia, na złamanie karku. Zdawało mi się, że będę ocalony, jeżeli uda mi się przejechać ze 25 sążni. Przejechałem więcej, obejrzałem się — niestety! — tygrys wielkiemi skokami pędził za mną. Był już o jakie trzy sążnie odemnie, a po chwili, pomimo że pędziłem jak szalony, już mnie doganiał. Czułem, już, jak straszne pazury drasnęły tylne koło welocypedu...

Lecz po chwili tygrys pozostał cokolwiek w tyle. Spostrzegłem przed sobą, idącą na prawo gładką ścieżkę, na którą natychmiast skręciłem w nadziei, że ujdę oczu drapieżnika. Przejechałem zaledwie kilka sążni, gdy spostrzegłem, że w poprzek ścieżki leży ogromne drzewo, zwalone burzą. Zimny pot wystąpił mi na czoło, lecz nie było czasu na namysł. Prawie machinalnie zeskoczyłem z welocypedu, przeniosłem go przez przeszkodę i po chwili znów pędziłem, jak szalony, czując, że tygrys jest za mną. Obejrzałem się — zwierz przeskoczył przez drzewo i ogromnemi skokami zbliżał się do mnie. Czułem już, że słabnę, gdy nagle spostrzegłem inną prostą ścieżkę, z wielkim spadkiem i dalej idącą pod górą.

Dobyłem ostatnich sił, jak błyskawica zleciałem ze stromej pochyłości i siłą pędu wpadłem na wzgórze. Byłem pewny, że wyprzedziłem straszną pogoń conajmniej o 30 sążni w przeciągu kilku sekund. Po chwili obejrzałem się — tygrysa nie było, widocznie dał za wygraną. Jeszcze czas jakiś jechałem bardzo szybko, lecz siły opuściły mię. Noc nadchodziła, nie wiedziałem gdzie jestem. Byłem wprawdzie ocalony od szponów jednego tygrysa, lecz jakiż los czekał mię osłabionego i zbłąkanego w tej puszczy pełnej drapieżnych zwierząt? Na szczęście na rozdrożu spotkałem kobietę, która wskazała mi drogę do wsi, a po chwili spotkałem Anglika i mego gospodarza, którzy w niepokoju o mnie, wyszli na moje spotkanie.

Jednakże ocalenie moje zawdzięczam tylko temu, że jechałem na doskonałym welocypedzie. Gdy wyraziłem tę myśl, kończąc opowiadanie o swojej przygodzie, Anglik odezwał się:

— Co za wspaniała reklama mogłaby być dla fabrykanta, który nie pożałował by tysięcy, gdybyś pan chciał opisać swą przygodę, z nadmienieniem, że udało ci się ocalić od tygrysa tylko dzięki dobroci welocypedu firmy X.

m.



Ks. Witold przysięga Krzyżakom zemstę wobec płonącego Kowna. (Malował Jan Styka.)

Straszne spotkanie.

Opowiadanie podróżnika.

Było to w zapadłej wiosce w górach Himalajskich, gdzie wypadło mi spędzić zimę 1896 roku. Pewnego razu zjawił się w wiosce Anglik cyklista. Poznałem się z nim, i chcąc użyć rozrywki, do jakiej dawno nie miałem sposobności, prosiłem go o pozwolenie przejechania się na jego wybornym welocypedzie. Zgodził się chętnie i za chwilę byłem już na drodze, prowadzącej do dżungli, obfitującej w tygrysy.

Z początku czułem się tak lekkim i wesołym, jak ptak wypuszczony z klatki. Pędziłem jak strzała, z wiatrem w zawody, poczem poczuwszy zmęczenie, zatrzymałem się na ślicznej polance. Welocyped oparłem o drzewo, a sam rozciągnąłem się pod olbrzymim bananem, czując nieprzepartą chęć zdrzemnąć się w cieniu. W odległości kilkunastu kroków odemnie płynął niewielki strumyk. Zacząłem drzemać, gdy nagle zbudził mię szelest około strumyka. Podniosłem powoli głowę, spojrzałem i skamieniałem ze strachu... Sen pierzchnął... Zadrżałem mimowoli — nad strumykiem w odległości 10 sążni odemnie, śród zarośli dżungli stał tygrys.

Nie wiem czy spostrzegł mnie. Kilka minut stał nieruchomo z podniesioną w górę głową i błyszczącemi zielono oczami. Czułem, że serce przestaje we

Osman-basza.

W Stambule z wielką okazałością odbył się w ostatnich tygodniach pogrzeb Osmana-Ghazi-baszy, sędziwego obrońcy Plewny. Jak wiadomo, przed niedawnym czasem rozeszła się przedwczesna pogłoska o śmierci tego dzielnego generała

tureckiego, który ostatnio jeszcze kierował akcyą Turcyi w wojnie z Grecyą. W swoim czasie zamieściliśmy już no-



Osman-basza.

tatkę biograficzną z życia Osmana-baszy, obecnie dodajemy tylko, iż został on pochowany w meczecie Mohameda, zdobywcy Stambułu, jak tego pragnął za życia. Z powodu śmierci Osmana-baszy „N. Wiener Tagebl.“ drukuje wspomnienia swego sprawozdawcy wojennego z 1877 r., który przypomina, że przez czas dłuższy w lipcu i w siepniu 1877 r. pod pseudonimem Osmana-baszy domyślano się albo marszałka Bazaine'a, albo też Maryana Langiewicza lub Czajkowskiego — Sadyka-baszy. Zwłaszcza Langiewicz, przez kilka tygodni uchodził w oczach całej Europy za Osmana-baszę. *W.*

Dział kobiecy.

Geniusz i talent u kobiet.



Gdy chodzi o oznaczenie granicy pomiędzy geniuszem a talentem — powiada Lombroso — dość zwrócić się ku kobietom, wśród nich bowiem różnica ta występuje z całą jaskrawością. Pojawiają się od czasu do czasu kobiety z wielkiemi talentami, kobiety jednak geniusze należą do najrzadszych wyjątków.

I czemu to przypisać? Niektórzy autorowie, jak Saguol, niższość tę kobiet tłómaczą wpływem warunków społecznych, nieświadomością, w jakiej są utrzymane, przeszkodami, jakie napotykają, ilekroć wydobyć się z niej pragną.

Brak wykształcenia u kobiet nie jest tak powszechnym, jakby się zdawało. Około roku 500-go we Włoszech i w pierwszych wiekach cesarstwa rzymskiego, kobiety wyższych klas społecznych kształciły się na równi z mężczyznami. Kobiety arystokracyi francuzkiej zeszłego wieku z zapałem oddawały się nauce, uczęszczając pilnie na wykłady Lavoisiera, Cuviera itp. Owóż ani jeden nie zrodził się geniusz w tem gronie kobiet uczonych.

Dowiedzioną jest rzeczą, iż na stu mężczyzn tysiąc co najmniej kobiet grywa na fortepianie. A przecież między temi ostatniemi nie słychać jakoś o geniuszach muzycznych, jakkolwiek w tej dziedzinie żadnej na drodze nie spotykają przeszkody. Liczba kobiet-malarzy w Ameryce północnej znacznie przechodzi liczbę mężczyzn, uprawiających malarstwo; kobiet-lekarzy istnieje tam w chwili obecnej 4,000. Statystyka wykazuje, iż we Francyi w roku 1893-im tyluż było nauczycieli, co i nauczycielek. Z pominięciem niezmiernie rzadkich wyjątków, jak: Kowalewska, Roza Bonheur, Cattani, które wybiły się po nad przeciętną pospolitość, nigdzie kobiety nie wzbogaciły ani medycyny, ani malarstwa, ani pedagogii dziełami istotnej wartości.

Kobieta pod wielu względami mniej jest wrażliwą od mężczyzny, to też tak w dziedzinie poezyi, jak i sztuki wogóle, nie zdolna jest wzbić się na pewne wyżyny.

Ciekawy jest ustęp, w którym autor stwierdza, jak rzadkie zresztą u kobiet zdolności genialne szły w parze z pewnemi zboczeniami organicznemi. Do zboczeń tych między innemi, Lombroso zalicza męzkie rysy, występujące u kobiet genialnych. „Niema kobiet genialnych — twierdzi Goncourt — bo te, które geniusz posiadają, mężczyznami są raczej.“

Telesilla, poetka z Argos, wiedzie współobywateli swoich na pole bitew. George Elliot posiadała twarz męzką. Olbrzymią miała głowę, włosy w nieładzie, wielki nos, mięsiste wargi, wyraźnie zarysowane wąsy, rozrosłe szczęki, twarz wydłużoną, końską; tak była przytem lękliwą, iż podlegała nocami, bez najmniejszej przyczyny, paroksyzmom niczem niewytłómaczonego przestrachu. George Sand głos miała męzki i chętnie używała stroju męzkiego. Męzkiemi rysami twarzy odznaczała się pani Staël.

Talentów za to Lombroso nie odmawia kobiecie. Twierdzi, iż tam, gdzie nic rozwoju jej nie tamowało, pod wielu względami stanęła wyżej od mężczyzny. Jako przykład autor stawia Maryę Longworth Nicholas, założycielkę szkoły i fabryki ceramicznej w Cincinnati; miss Ludwikę Laighlin, która odznaczyła się w tymże fachu, stosując w nim metodę japońską. Wszystkim wiadomo, jakie kobieta zajęła stanowisko w teatrze, jako aktorka. Wyróżnia się, a nawet wyżej stoi od mężczyzny i w nauce, o tyle jednak tylko, o ile chodzi o stosowanie i propagowanie cudzych pomysłów. Markiza Châtelet spopularyzowała we Francyi Newtona; pani Royer tę samą usługę oddała Darwinowi.

W obecnej chwili kobiety coraz liczniej występują we wszelkich gałęziach przemysłu. Zakres przytem działania kobiet rozszerza się z dnia na dzień. Trzynaście lat zaledwie upłynęło od czasu, gdy w Anglii rozpoczęły uprawiać medycynę, a już w kraju tym istnieją szpitale żeńskie, wyłącznie przez kobiety prowadzone. W Rossyi istnieje 700 kobiet-lekarzy, w Ameryce 4,000. New-York na 9,000 nauczycieli posiada 20,000 nauczycielek.

Jednem słowem — konkluduje Lombroso — jak z jednej strony brak kobietom zdolności genialnych, tak z drugiej pełno wśród nich talentów i to we wszystkich kierunkach ich działalności.

W.

Najnowsze mody.



Suknia wizytowa.

Złote listki.

Przykrą drogą do wiecznej chwały wiodą [cnoty:
Przez frasunki, potwarze, przez trudy, [przez poty...
Prawdziwe szczęście nie przychodzi z mio- [dem.

Wacław z Potoka Potocki.

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni...
Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się [i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I padasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!

Adam Mickiewicz.

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

(Ciąg dalszy.)

— Zdaje mi się, że partyzanci już zawojowali Gradowce.

— Gradowce?... ależ to niepodobna!...

— Cała okolica w płomieniach... spotkałem się z oddziałem kawaleryi ciągnącym z Zahajpolszczyzny... gdybym był nie miał przy sobie tego świstka, byliby mnie może powiesili.

— Ależ pan żartujesz!

— Nie żartuję, pani.

— *Mais c'est de la bêtise,* jak mawiał mój nieboszczyk.

— Gorzej pani ciociu, *c'est une calamité,* jakby powiedział mój ojciec i jak powiedzieć musi każdy człowiek z głową na karku.

— To prawda, *c'est une calamité!* — powtórzyła ciocia Giefia i rozpaczliwie załamała ręce.

Ale niedługo trwała jej rozpaczna zaduma. Umysł jej nie był tak uorganizowanym, żeby czemkolwiek mógł się martwić długo.

— I że ja też od razu na tę myśl nie wpadłam! — zawołała z trzpiotowatością wcale nie wyglądającą na bezpośredni wynik owej rozpaczliwej zadumy — każę dziś rano wołać Harasyma, nie ma go, poszedł w nocy do Gradowiec i nie powrócił... każę wołać Prokopa, toż samo. To oni do powstańców poszli niezawodnie! *C'est une calamité,* słusznie pan marszałkowicz powiada, co ja teraz bez nich w gospodarstwie będę robiła, gdzie tu ludzi w takich czasach dostać naprędce?...

— *C'est plus qu'une calamité,* — zawołał kamerjunkier — *lorsque la populace s'en mêle, nous aurons une* rzeź humańska!...

— *Nous aurons une* rzeź humańska! — powtórzyła jak echo ciocia Giefia, załamując powtórnie ręce.

I znów rozpacz nie trwała długo, znowu po chwili w umyśle poczciwej cioci zaświtały uspakajające myśli.

— Ale to nic — szczebiotała siląc się na wdzięk i naturalną zalotność siedemnastoletniego dziewczęcia — ale to nic, *ce'st de la bêtise,* jak mawiał mój nieboszczyk. Kiedy pana mam przy sobie, to się nietylko powstania, ale nawet piekła nie boję. Wiem, że przy panu włos mi z głowy nie spadnie, *fussent-ils même des atropophages, les insurgés.* Pan będziesz moim rycerzem!...

Kochana ciocia Giefia nie bała się tak bardzo, żeby jej włos spadł z głowy, bo pod tym względem nadzwyczaj mało miała już do stracenia podobno.

— Tak, będziesz pan moim rycerzem — powtórzyła — ot, przystrajam pana w moje kolory.

Odpięła od ubrania jakąś kokardę i chciała ją przypiąć panu Arturowi.

Całe jej szczęście, że pan Artur, jako człowiek dystyngowany, wcale się polskiem piśmiennictwem nie bawił: *Pana Tadeusza* nie czytał, bo kto wie czy w tej chwili nie byłby do niej użył tej jednowyrazowej apostrofy, w której streszczała się cała replika bohatera szlacheckiej epopei na gwałtowne wyrzuty i pretensye Telimeny.

Nie znając *Pana Tadeusza* pan Ketteler wyraził się delikatniej, co dowodzi, że nawet nieznajomość arcydzieł na coś dobrego kiedyś wyjść może.

— Porzućmy te dziecińistwa, pani — rzekł z powagą usuwając rękę cioci Giefi z kokardą — okoliczności tak się złożyły, że nie pani odemnie potrzebujesz obrony, bo pani nic nie zagraża, ale owszem ja, mężczyzna, szukam u pani chwilowego schronienia, przed niebezpieczeństwem...

Ciocia Giefia rozpromieniała. Czuła, że będzie po raz pierwszy w życiu powołaną do jakiejś bohaterskiej roli i chwyciła się tej roli oburącz.

— Pan w niebezpieczeństwie, tyś w niebezpieczeństwie, panie Arturze! — zawołała — ależ to okropne, przerażające! O niegodziwcy! o bezczelni! o bezwstydni! więc im nie dość, że starego rotmistrza o siwych włosach wywieźli w syberyjskie otchłanie, więc im nie dość jednej ofiary, ale ścigają jeszcze pana! chcą pochwycić, uwięzić, zesłać, zakopać żywcem w kopalniach, okuć w kajdany! O! że grom z nieba tych krwiożerczych najezdników nie zgładzi!.. Ale daremne ich usiłowania, choćby byli sto razy bardziej Moskalami niż są, ja pana nie dam, panie Arturze, ja nie dam dzikim zbirom salonowego i europejskiego młodzieńca, ja pana dla salonu i dla Europy ocalę. Tu, tu, — mówiła z wrastającym bardzo szybko zapałem, porywając byłego kamerjunkra za rękę i ciągnąc go za sobą — tu w tym wdowieńskim pokoju, w którym nigdy męska stopa nie postała i nie postanie, ukryj się pan i bądź bezpieczny! Jeżeliby tu wejść chcieli, bądź pan pewnym, że nie wejdą, chyba po moim trupie, ale nawet niepodobna przypuścić, żeby wejść usiłowali, *car c'est de la bêtise,* jak mawiał mój nieboszczyk.

Cała polityczna tyrada, cała ta kaskada wyrazów, wypowiedziana była jednym tchem, tchem który dowodził, że ciocia Giefia, mimo dwudziestoletniego wdowieństwa, które po trzech niezmiernie krótkich pożyciach z małżonkami nastąpiło, miała jeszcze płuca potężne i nie potrzebowała się obawiać tej plagi, która dziesiątkuje ludzkość, a przed której nazwą: „suchoty“ doktorzy medecyny w milczeniu i pokorze uchylają swoich biretów. Między wyrazem tego płomienistego wynurzenia gotowości do oddania żądanej przysługi, nie znalazła się nigdzie przerwa nawet tak mała, żeby w nią pan Artur wsunąć mógł zatrzymujące potok słów wyrażenie.

— Ależ, cciociu!..

Był tedy pan Artur zmuszony wysłuchać tej przemowy aż do końca. Nie wiemy z jakiej właściwie przyczyny ciemno mu się zrobiło w oczach podczas tego kazania, i rumieńce — gość bardzo rzadki — występowały na jego arystokratycznie bladą twarz.

Nareszcie ciocia Giefia przerwała i zaczerpnęła oddechem.

W lot skorzystał z tej przerwy pan Ketteler.

— Ależ, ciociu — zawołał — nieboszczyk miał słuszność, *c'est de la bêtise* co pani mówisz.

— *De la be..tise?* — powtórzyła ciocia Giefia zdumiona.

— Tak pani!... zkąd idea, że jabym mógł rząd tak rozdraźnić, żeby aż ściągnąć na siebie następstwa tak okropne, jak nasz poczciwy rotmistrz, któremu nie odmawiam należnego szacunku, ale który niech mi pani wierzy, w rzeczach politycznych był lekkomyślny jak dziecko Mnie właśnie o to idzie, żeby się nie skompromitować przed rządem. Nieszczęście chce, że jestem w takim wieku, w którym człowieka mimowolnie ciągną do patryotycznych awantur, nieszczęście chce, że między tymi awanturnikami jest ten hajdamaka Bartłomiej Zahajpolski, który sobie poprzysiągł, że mnie mieć będzie w powstaniu pod swoją komendą, zapewne dlatego, żeby się pomścić na mnie za to, żem go nieraz trochę z góry traktował. Ten awanturnik i zawadjaka mógłby naprawdę zrobić to czem zagrażał. A osądź że pani sama, czy ja mogę iść do powstania?...

— Pan! — zawołała z najnaturalniejszem w świecie zdziwieniem ciocia Giefia — pan, *quelle idée!...* taki delikatny, taki salonowy, taki europejski młodzieniec, *mais c,est de la...*

— Nie idzie tu o delikatność, ani o salonowość, — trochę urażony przerwał pan Artur — idzie tu o rozumne pojmowanie obowiązków względem Ojczyzny. Gdyby szło tylko o narażenie swojej osoby, poszedłbym niezawodnie, życia nie żałowałbym pewno..... Gdyby szło tylko o to, że za udział w powstaniu mogą nam skonfiskować majątek, poszedłbym również, o majątek mi nie idzie..... Ale w takiem położeniu, w jakiem my jesteśmy, w położeniu wyjątkowem, kiedy jesteśmy także w posiadaniu fideikomisu, który w razie dania powodu ze strony naszej, dostałby się w ręce wrogów, najprostsza uczciwość nie pozwala nam dawać najmniejszego pozoru do zagrabienia majątku, który z takiem zaufaniem w ręce nasze złożono.....

Ciocia Giefia nie zrozumiała z początku o co panu Arturowi chodziło; gdy zrozumiała, gdy się dowiedziała, że tylko wzgląd na całość mienia powierzonego mu w depozyt przez rotmistrza wstrzymywał byłego kamerjunkra od narażenia się

na wszelkie niebezpieczeństwa dla Ojczyzny, pan Artur wydał jej się bohaterem, przerastającym o głowę wszystkich bohaterów, o jakich w romansach czytywała. Nigdy przedtem i nigdy podobno potem nie była ciocia Gefia taką zwolenniczką powstania, jak w tej chwili. Zapał jej patryotyczny był iskrą tlejącą pod popiołem, potrzebował rozniecenia, żeby buchnął płomieniem. Pan Artur ani się mógł spodziewać, że się stanie tą podnietą, że gdyby nie jego zjawienie się w Zaskalu, ciocia pozostałaby nadal jak była przedtem obojętną na ruch krajowy, a zaprzątniętą wyłącznie swoją tylko osobą i nadziejami.

— To szczytne — rzekła — ale nie zawiedziesz się pan na mnie! Pojmuję świętość pobudek, które panu każą trzymać się na uboczu od powstania i gdyby była potrzeba, gdyby ten zawadyaka z Zahajpolszczyzny koniecznie chciał wyciągnąć pana na rzeź, ukryję pana, sobą zasłonię i ocalę. A gdyby miało przyjść do ostateczności, to wtedy... wtedy już wiem co zrobię!

Otucha wstąpiła w serce pana Artura, otucha tak wielka, że nie dopytywał się już nawet co ciocia Gefia w ostatecznej ostateczności zrobi, bo mu szło tylko właściwie o to, żeby wybuchłą zawieruchę spokojnie przeczekać w Zaskalu, a gdyby rzeczywiście przyjść miało do jakiegoś natrętnego do szeregów powstańczych werbunku, żeby miał kto poświadczyć, jakie rzeczywiście pobudki wstąpić mu w te szeregi nie pozwalają. Rozpogodziło się zatem jego czoło i rozgościł się w Zaskalu swobodnie, korzystając z uprzejmej gościnności cioci Giefi.

A ciocia Giefia niebardzo nawet była mu natrętna swoją osobą. Wytłumaczywszy się przed nim potrzebą wydania koniecznych śniadannych i obiadowych rozporządzeń, pozostawiła go samego i oddaliwszy się odbyła z czeladką, po największej części kobiecą, gdyż męzka prawie wszystka wyszła do Gradowiec i nie wracała, dziwne jakieś konferencye i narady.

Paraszka, Olenka, Chapka i inne sługi zapędzone zostały do szycia, dziewkę od krów posyłano do kowala, stary Jan gracyalista otrzymał polecenie przeszukania na strychu starego żelaztwa, podstarościemu Lemieszyńskiemu dawano także jakieś tajemnicze zlecenia, słowem, robiono tyle rzeczy zagadkowych, że gdyby był pan Artur spostrzegł wszystkie te machinacye, byłby się przeląkł i wyjechał z Zaskala prędzej jeszcze niż przybył, gdyż byłby przyszedł do przekonania, że w tej spokojnej wiosce jest jedno z najczynniejszych ognisk konspiracyi.

XI.

Bywają przeczucia nieomylne, i do takich podobno należało owo przeczucie, które kazało panu Arturowi unikać spotkania z panem Bartłomiejem Zahajpolskim.

Ale przeczucie to bardzo niewłaściwie popchnęło go na drogę do Zaskala, chyba dlatego tylko, żeby się łatwiej spełnić mogło, chociaż może zresztą nie miało ono tego egoistycznego zamiaru, tylko mu dopomógł przypadek.

W Gradowcach wszystko odbyło się w ułożonym porządku. Na godzinę oznaczoną zgromadził się oddział powstańczy i uszykował się na rynku.

Dowódzca Klin zrobił jego przegląd i nadał mu ostateczną wojskową organizacyę, rozdzieliwszy broń odpowiednio i ustanowiwszy dowódców.

Przy odgłosie bębna odczytano manifesty rządu narodowego w języku polskim i ruskim i tak zwaną „Złotą hramotę.“

Następnie odbyło się nabożeństwo, które odprawiał jeden z ojców Kapucynów, przyszły kapelan oddziału.

W mieście i naokoło miasta odbywały się patrole i rekonesanse, zasięgano języka, ściągano informacye.

Według wszelkich doniesień najmniej na dwie mile w promieniu wojska moskiewskiego nigdzie w okolicy nie było. Wiedziano zkądinąd, że wogóle w całej gubernii siły moskiewskie są dość słabe, i przewidywano, że Moskale, dowiedziawszy się co zaszło, ściągną tych sił ile będą mogli i wyprawią je na nowo powstający oddział, ażeby mu się nie dać należycie sformować.

Rozpatrzywszy się w mapie i skombinowawszy odebrane doniesienia, dowódca Klin uznał, że najkorzystniej będzie przyjąć potyczkę w okolicy Gradowiec i w tym celu postanowił podzielić swój oddział na kilka drobniejszych oddziałów, rozlokować te oddziały w okolicy, zdala od głównych dróg, i gdy Moskale wejdą w środek utworzonego w ten sposób koła, zaatakować ich jednocześnie ze wszystkich stron.

Plan ten śmiały miał jednakże dosyć szans powodzenia, ponieważ do oddziału zeszło się rzeczywiście stosunkowo bardzo dużo ochotników, ożywionych najlepszym duchem, uzbrojonych wcale nieźle i wyćwiczonych jako tako i ponieważ siły moskiewskie, jakich się na razie spodziewać można było, nie były tak bardzo przeważne.

Gdyby się plan ten powiódł w zupełności, to jest gdyby główna siła moskiewska w okolicy wyciągnięta w zasadzkę mogła być rozbitą i zniesioną, część granicy galicyjskiej byłaby przez czas jakiś otwartą dla tworzących się tam i wkroczyć mających oddziałów.

Powziąwszy te postanowienia Klin rozporządził, które oddziały w jakim kierunku udać się mają i jaki będzie sygnał ogólnego uderzania na Moskali. Wymarsz nastąpił jeszcze przed wieczorem i panu Bartłomiejowi Zahajpolskiemu wypadło udać się w stronę Zaskala.

Mała część oddziału, sam dowódca, Stanisław, Józef, pozostali jeszcze w Gradowcach. W Gradowcach również, w klasztorze kapucyńskim, internowany był, to jest zamknięty w okratowanej celi Rafał Fajski, ażeby mu nie przyszła ochota złamać zakaz dowódcy, zabraniający mu opuszczania miasta przez ciąg dni trzech.

Wszystkie narady dowódcy z główniejszymi członkami organizacyi odbywały się w garbarni i w mieszkaniu Stanisława, i tam także pozostał dowódca wieczorem, gdy już wszystko według jego woli było spełnionem.

— Cóż pan sądzisz o moich rozporządzeniach — rzekł wówczas Klin do Stanisława — i czy nie masz co do poradzenia lub odradzenia póki jeszcze coś zmienić można?

— O ile sądzić mogę wszystko obmyślane jak najlepiej.

— Aprobujesz pan zatem wszystko?

— Nie mam władzy aprobowania, ale gdybym ją miał aprobowałbym.

— Nawet owo uwolnienie denuncyanta?

— To przedewszystkiem. Na pańskiem miejscu postąpiłbym tak samo.

— I żlebyś pan postąpił, odparł Klin.

Stanisław spojrzał na niego pytająco.

— Ten człowiek „jest szpiegiem“, odpowiedział na to nieme pytanie, jest niebezpieczniejszym od innych, bo zręcznym i nawet w największej ostateczności jeszcze nie traci przytomności. Dowieść mu tego byłoby łatwo i kara śmierci według prawa wojennego należałaby mu się koniecznie.

We wzroku Stanisława coraz wyraźniej malowało się zdziwienie.

— Ja jednakże uwolniłem go, mówił Klin, a uwolniłem go dla tego, że mi był potrzebny. Nie sztuka złapać i powiesić nieprzyjacielskiego szpiega, sztuka go wyzyskać na szkodę nieprzyjaciela. W naszem położeniu w tej chwili potrzeba, żeby Moskale jak najprędzej dostali się w koło, które na nich zastawiliśmy. Im prędzej przyjdą, tem będą mniej liczni, tem świeższy w naszych zapał, tem pewniejsze zwycięztwo. Otóż nikt inny tak pewno nam ich nie sprowadzi jak ten człowiek.

— Jakim sposobem?

— Bardzo prostym. Porozumiałem się z Kapucynami, żeby mu dali taką celę, z której, jeżeli zechce a ma głowę na karku, będzie mógł uciec jeszcze tej nocy. Pozostawiłem tutaj większą część ludzi z garbarni, w przekonaniu, że z pomiędzy nich będziesz pan mógł wybrać kilku takich, którym można zaufać. Tych się postawi na warcie przy klasztorze, z poleceniem, ażeby gdy będzie uciekał strzelali za nim i gonili go, ale żeby go nie trafili, ani dognali. Znajdą się ludzie, którym to powierzyć można.

— Są tacy.

— Człowiek ten jednak, widząc że mu nic nie grozi nie uciekałby z pewnością. Trzeba zatem, żeby miał interes w ucieczce, trzeba żeby się czegoś ważnego dowiedział, żeby się spodziewał za sprzedanie tej wiadomości Moskalom więcej nagrody. Wówczas dopiero usunie się myśl ucieczki, wtedy spostrzeże, że wykonanie tej myśli nie jest trudnem i wtedy dopiero ucieknie, a mniemana pogoń i wystrzały nie pozwolą mu ani na chwilę pomyślić, iż uciekł tylko dla tego iż myśmy go chcieli wypuścić. Dlatego odbędziemy rodzaj rady wojennej w klasztorze, ale w miejscu takiem, że z jego kaźni można będzie słyszeć dokładnie wszystko. Z tego podsłuchania dowie się naturalnie tylko tego, co naszym celom posłużyć może, co może doprowadzić do spełnienia naszego planu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

— Przyrzekłaś mi, że zostaniesz moją żoną i musisz słowa dotrzymać! Nie zwrócę ci go pod żadnym warunkiem, wołał w uniesieniu.

— Ale to być nie może! szepnęła smutnie.

— Więc powiedz, dlaczego!

— Nie mogę! Zapewniam cię, że istnieje niezwalczona przeszkoda, że kiedyś dowiesz się o wszystkiem i powiesz, że miałam słuszność!

— Przeceniasz moją cierpliwość, Janino! Najpierw zaręczasz się ze ze mną, a potem zagadkowa jakaś przyczyna nie pozwala ci dotrzymać słowa! Czy lord lub lady Marstone są przeciwni naszemu związkowi?

— O nie, zgadzają się bardzo chętnie na to!

— Słyszałaś może coś złego o mnie, może jakie oszczerstwa doszły....

— Nigdy! przerwała żywo. I nigdy bym też nie uwierzyła, gdyby mówiono źle o tobie!

— Więc cóż cię może odstraszać? O, najdroższa, dodał błagalnie, byłaś zawsze tak szczerą i otwartą, nigdy nie miałaś tajemnic przedemną! Zaufaj mi! Zaufaj mojej gorącej miłości!

Janina z rozpaczą załamała ręce.

— Arturze, rzekła bezdźwięcznym głosem, wierzaj mi, że istnieje zapora, dzieląca nas na wieki. Uznasz później sam, że inaczej postąpić nie mogłam.

— Niczego nie uznam, krzyknął namiętnie, żądam raczej, abyś nie zrywała naszych zaręczyn i abyś została moją żoną!

— Zmuszasz mnie zatem do opuszczenia Anglii i do ukrycia się w jakim zakątku, w którym nikt mnie nie znajdzie. Ach, nie bądź okrutnym, Arturze, nie odbieraj mi jedynego przytułku i opieki jedynych krewnych, jakich mam na świecie! Kocham cię tak, że największem mojem szczęściem byłoby należeć do ciebie, więc jeżeli sama wyrzekam się tego szczęścia, to muszą być ważne do tego powody.

Artur czuł się wzruszonym wyrazem głębokiego żalu, jaki brzmiał w jej słowach.

— Stoisz zupełnie tak samo przedemną, rzekł nagle, jak owego wieczora, gdy mi oznajmiłaś, że Helenka będzie żyć i że będzie zdrową. Wówczas musiałam pogodzić się z moim losem, ale dziś nie rozumiem tej zagadki. Mam nieograniczone zaufanie do ciebie, a jednak.... Może kochałaś dawniej kogoś innego?

— Nie mogę ci na to odpowiedzieć, bo na takie pytanie nie mam odpowiedzi.

— Gdybym cię nie znał oddawna, dodał z gorzkim uśmiechem, to myślałbym, że byłaś już raz zamężną, i że twój mąż znowu się pojawił!

Janina zadrżała. Jak blizkim był prawdy!

— Myśl, co chcesz, zawołała. Powiedziałam ci to, co moje sumienie i mój honor kazały, więcej uczynić nie mogę.

— Widzę, że nie kochałaś mnie nigdy! rzekł marszcząc gniewnie czoło.

Janina podniosła na niego swe śliczne czarne oczy, pełne gorących łez.

— Będziesz kiedyś żałował tych słów, szepnęła.

— Żałuję ich już teraz, ale wybacz mi, jestem jak nieprzytomny. O Janino, ukochana, czy nic cię wzruszyć nie zdoła? dodał namiętnie. Ani prośby moje, ani rozpacz, ani....

— Nie, przerwała, musimy pożegnać się na wieki!

— Więc żegnam cię, rzekł krótko, i wybiegł z pokoju.

— — — — — — — — — — — — — — —

Artur pojechał na kilka dni do Londynu, potem dopiero wrócił do domu. Zamknięty w swojej pracowni, nie przyjmował nikogo, nie wychodził nigdzie i nie żądał nawet widzenia się ze Stellą. Helenka zaniepokojona tą niemą rozpaczą, zapytała pani Bird, czy lord Chesley jest chory.

— Nie lubię mówić o milordzie, odrzekła gospodyni, ale widocznie zaszło coś bardzo ważnego. Tapicerów odesłał, roboty nie ukończone.... Oby tylko zaręczyny nie były zerwane!

Helenka niezmiernie pragnęła go zobaczyć. Chodziła z dzieckiem po wszystkich pokojach i po ogrodzie, ale Artur nie pokazywał się nikomu. Nareszcie usłyszała, że zachorował, i że posłano po lekarza i na wiadomość o tem zbudziła się znowu w jej sercu cała dawniejsza miłość dla niego. Jak chętnie byłaby go chciała pielęgnować, tymczasem nie śmiała nawet pytać o niego codziennie, z obawy, aby niepokój jej nie podpadał gospodyni.

Choroba jednak minęła wkrótce i Artur szybko wracał do zdrowia. Po upływie dwóch tygodni wolno mu już było wyjść do ogrodu i teraz postanowiła Helenka bądź co bądź skorzystać z tego i zobaczyć go. Zabrawszy dziecko z sobą, zeszła na dół i zaledwie skręciła w boczną aleję, gdy ujrzała siedzącego na ławce Artura. Stella pobiegła z radosnym okrzykiem do niego, Helenka zaś drżąca i blada z wzruszenia wolno postępowała za nią.

Ostatnie tygodnie zmieniły niezmiernie Artura. Jak bardzo musiał kochać Janinę, jeżeli utrata jej tak go dotknęła! Gorzkie uczucie zazdrości opanowało serce młodej kobiety — jej śmierć bowiem nie wywołała takiej bolesnej zmiany u niego. Jedyną pociechą jej była wielka miłość, jaką okazywał Stelli, nie mógł więc tak bardzo nienawidzieć matki, jeżeli kochał dziecko.

Posadził sobie teraz dziewczynkę na kolana i obejrzał się za jej towarzyszką. Gdy ujrzał panią Moore, skinął jej uprzejmie głową, zdawało się, że jest zadowolonym widząc Stellę pod jej opieką. Potem bawił się znowu z dzieckiem.

— Chciałaby moja laleczka jechać ze mną w daleką podróż? zapytał nagle, całując złotą główkę dzieciny. Do pięknego kraju, w którym zawsze jasne słonko świeci?

— Ach tak, papo? zawołała Stella uradowana.

— Zobaczysz tam błękitne morze, w którem twoja kochana mama spoczywa. Zostaniemy w tym kraju na zawsze.

— Więc chce jechać do Włoch, pomyślała Helenka.

Lord Chesley opowiadał dziecku dalej o pięknych kwiatach, jakie tam rosną, o słodkich owocach, a Stella słuchała zachwycona, gotowa jechać natychmiast.

— Kogo życzysz sobie zabrać z sobą? rzekł w końcu Artur.

Stella wskazała na Helenkę.

— Panią Moore, odpowiedziała bez namysłu.

— Kochasz ją bardzo?

— O tak!

Wyraz twarzy dziecka przypomniał mu Helenkę.

— Jesteś bardzo podobną do mamy, moje kochanie, rzekł, a słowa te brzmiały w uszach Helenki jak najpiękniejsza muzyka. Potem zwrócił się Artur do niej i spojrzał uważnie na jej twarz.

— Słyszałaś pani Moore, co Stella mówiła? zapytał. Chciałaby cię zabrać do Włoch. Zgadzasz się na to.

Helenka drżała, jak we febrze.

— Jesteś bardzo troskliwą o nią, dodał jeszcze i gdybyś się zdecydowała jechać z nami, powierzyłbym ci ją zupełnie. Kogo Stella tak bardzo kocha, do tego mam i ja zaufanie!

— Na jak długo zamierza milord wyjechać, szepnęła biedna zbielałemi ustami.

— Nie wiem, najchętniej jednak — na zawsze! Rozważ pani sobie tę rzecz. Jeżeli przyjmiesz moją propozycyą, to zabezpieczę twoją przyszłość, jeżeli zaś nie, to będę ci wdzięcznym za troskliwą opiekę, jaką Stellę dotychczas otaczałaś.

— Proszę o chwilę czasu do namysłu, odrzekła Helenka.

Wiedziała przecież bardzo dobrze, że jechać nie może. Tutaj, gdzie Artur rzadko ją widywał, mogła zachować swoją tajemnicę, ale tam, na codzienne widzenie się z nim, nie starczyło jej sił. Z tem wszystkiem podróż jego do Włoch znaczyła dla niej tyle, co rozstanie się z dzieckiem na zawsze.

I gdy po długiej przechadzce wróciła znowu z Stellą, siedział Artur na tej samej jeszcze ławce, z twarzą w rękach ukrytą. Helenka byłaby połowę życia dała za to, gdyby mogła go teraz pocieszyć swoją miłością — ale on nie pragnął tej miłości, która mu całe zatruła życie!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY.

Lord Chesley postanowił opuścić Ashbrok i przenieść się na stały pobyt do Włoch. Życie w Anglii bez Janiny

żadnego dla niego nie miało już uroku, marzenia o szczęściu rozwiały się, więc pragnął unikać wszystkiego, co mu jego rozczarowanie przypomnieć mogło.

Starał się wmówić w siebie, że Janina nie kochała go, a chociaż wstydził się sam tego podejrzenia, to jednak mimowoli zaczynał porównywać Janinę z Helenką. Helenka kochała go nad wszystko w świecie i nawet w godzinie śmierci myślała jedynie o nim. — Janina zaś odepchnęła go, jak sądził, bez najmniejszego powodu, dla niewytłumaczonego kaprysu.

I z głębokim żalem wpatrywał się teraz całemi godzinami w uśmiechniętą, śliczną twarzyczkę żony, myśląc o jej głębokiej, serdecznej dla siebie miłości.

— Ona kochała mnie prawdziwie, mówił sobie w duszy.

Wyjazd swój musiał jeszcze chwilowo odłożyć dla braku rządcy, który miał w czasie jego nieobecności zajmować się zamkiem i dobrami. Szukał pilnie odpowiedniej osobistości, ale jak dotąd, napróżno, a zwłoka ta niecierpliwiła go niezmiernie. I stał się teraz gwałtownym, szorstkim, wymagającym — wydawał rozkazy niemożliwe do wypełnienia, wypędzał służbę i dziwił się później, że przyjmowano inną. Nikt nie poznawał dawniejszego dobrego, łagodnego pana.

Czasem przepędzał całe dnie w pokoju Stelli, potem znów nie chciał jej widzieć. Helenkę niepokoiły najwięcej jego konne wycieczki. Wierzchowiec bywał zawsze pianą okryty, gdy wracał, a stajenni niechętnie towarzyszyli panu, obawiając się o całe kości. Tak samo bywało, gdy wyjeżdżał, i wszyscy drżeli z strachu; że młode, dzikie, nieujeżdżone konie, któremi sam powoził, staną się powodem największego nieszczęścia. Nieraz myślała Helenka o tem, aby uwiadomić Janinę o wszystkiem, co się tu działo. Służba zamkowa narzekała i groziła opuszczeniem miejsca, a pani Bird załamywała ręce i płakała.

Lord Chesley chciał zapomnieć i przytłumić swoją rozpacz. I teraz właśnie stawała mu w pamięci coraz to częściej promienna postać Helenki, i do gwałtownego żalu po stracie Janiny dołączał się żal głęboki, że nie umiał ocenić lepiej miłości swej żony.

Pewnego dnia kazał znowu zaprządz owe dzikie konie. Helenka stała z dzieckiem przy oknie i patrzała z niepokojem na dzikie, rzucające się rumaki, które stajenni z trudnością utrzymać zdołali.

Nagle uchylił lord Chesley drzwi i zawołał głośno:

— Proszę ubrać Stellę. Pojedzie ze mną!

Gospodyni, będąca także w pokoju, spojrzała osłupiała na Helenkę.

— Czy milord ma zamiar jechania młodemi końmi? — zapytała nieśmiało.

— Tak!

— O, w takim razie nie zabieraj Stelli, milordzie, zawołała Helenka błagalnie. Gdyby się co stało — ona taka mała, bojaźliwa.....

W głosie jej brzmiała szalona trwoga, ale lord Chesley nie zważał na nic.

— Gdyby to było niebezpiecznem, nie zabierałbym jej z sobą, — rzekł krótko. Nikt zresztą nie potrzebuje mnie uczyć obowiązków względem mego dziecka.

— Nie rozumiesz mnie, milordzie, nie widzisz niebezpieczeństwa, ale.....

— Jesteś bardzo troskliwą, pani Moore, — krzyknął rozgniewany, — proszę się jednak nie mieszać w moje rozporządzenia.

Serce matki oparło się temu szalonemu zamiarowi. Helenka przycisnęła dziecko do siebie, jak gdyby nie chciała pozwolić, aby je lekkomyślnie narażano na zgubę.

— Stella nie ma matki, — rzekła śmiało, która by nad nią czuwać mogła. Nie dam dziecka, milordzie!

Ale Artur odebrał jej w milczeniu dziewczynkę, i zwrócił się ku drzwiom. Helenka zbladła śmiertelnie. Kilka minut później wyruszył kabryolet z dziedzińca.

Helenka, nieprzytomna z strachu, poszła do swego pokoju, rzuciła się na kolana, i prosiła Boga w gorącej modlitwie, aby strzegł najdroższego jej skarbu. Jak długo się modliła tego sama nie wiedziała, ale gdy teraz nagle usłyszała na dole, w sieni, głośny krzyk przerażenia, zerwała się jak szalona, i w jednej chwili stanęła w kurytarzu. Lord Chesley stał tam blady i zmieszany, niańka płakała, a pani Bird załamywała, jak zwykle, rozpaczliwie ręce. Na rękach kamerdynera leżała Stella z zamkniętemi oczkami, na czole jej zaś widać było ślady krwi.

— Co się stało? krzyknęła Helenka.

— Konie rozbiegły się, dziecko wypadło i..... odrzekła niańka, łkając.

Helenka jednym skokiem stanęła obok kamerdynera, porwała Stellę i biegła z nią do swego pokoju.

— Co robisz pani Moore? zawołał Artur, w najwyższem uniesieniu, starając się zastąpić jej drogę.

Ale Helenka odepchła go.

— Nie pozwolę nikomu ruszyć dziecka, jękła z rozpaczą, ono do mnie należy.

— Tracisz zmysły chyba, krzyknął lord Chesley drżąc z gniewu. Helenka jednak nie słyszała już nic, wpadła z dzieckiem na ręku do swego pokoju i zamknęła szybko drzwi na klucz. Stało się to tak prędko, że obecni byli jak gromem rażeni, Artur zacisnął pięści, żyły nabrzmiały mu na czole i już zamierzał uderzeniem nogi wyłamać drzwi, gdy w tejże chwili dał się znowu słyszeć głos Helenki.

— Trzeba natychmiast posłać po doktora. Dziecko ma głęboką ranę na głowie i lewą rączkę złamaną.

Teraz zbudziła się przedewszystkiem trwoga w sercu ojca o życie Stelli, i zaraz też zrozumiał, że tylko litość była powodem nierozważnego postępowania bony. Postanowił więc nie karać jej w obec całej służby, aby jej zanadto nie upokorzyć i zwrócił się najpierw do stojącego obok kamerdynera.

– Jechać czemprędzej po lekarza, rzekł szorstko, pani Bird zaś postara się o szarpie i wszystko, czego potrzeba do opatrzenia rany. Skoro będzie mi kto z was potrzebnym, to go zawołam. Z panią Moore rozmówię się później sam. Jest to bezczelna kobieta.

Służba oddaliła się szybko, nikt jeszcze lorda w takiem uniesieniu nie widział, więc też wszyscy byli tego zdania, że bezpieczniej w oddaleniu odczekać zakończenia sprawy z panią Moore. Żałowano jednak szczerze biednej kobiety, która z litości nad dzieckiem zapomniała, na jakiem właściwie znajduje się stanowisku. Wszyscy byli przekonani, że będzie musiała natychmiast zamek opuścić.

Lord Chesley zapukał teraz do drzwi i zawołał energicznie:

— Proszę mi otworzyć, w tej chwili.

Helenka słyszała to, co mówił do służby, i była mu wdzięczną za okazany jej wzgląd. Wiedziała, że teraz gwałtowna nastąpi scena, pomimo to nie chciała jeszcze zdradzać swej tajemnicy. Zapomniała tylko o tem, że całe jej zachowanie się musiało już wzbudzić, jeżeli nie podejrzenie to przynajmniej zdumienie Artura. Spokojna na pozór, otworzyła drzwi i lord Chesley wszedł do pokoju.

— Żądam, abyś natychmiast opuściła mój dom, rzekł szorstko. Wiesz zapewne sama, że inaczej być nie może.

Helenka zachwiała się. Miała opuszczać dziecko w chwili, gdy najwięcej matki potrzebowało.

Artur zauważył jej przerażenie i żal mu było biednej kobiety.

Czem możesz się uniewinnić pani Moore, dodał nieco łagodniej. Że litość dla dziecka uniosła cię, że zapomniałaś o twojem stanowisku, to już uwzględniłem, odsyłając służbę, bo nie chciałem, aby wszyscy byli świadkami twego upokorzenia. Ale nic w świecie nie skłoni mnie do zatrzymania cię do jutra nawet! Za godzinę wyjedziesz ztąd!

Rozłączać się z dzieckiem, chorem, bezsilnem, nigdy!

— Nie opuszczę mego dziecka pod żadnym warunkiem! rzekła sobie Helenka w duszy, niech się dzieje, co chce!

I na wpół nieprzytomna, nie wiedząc nawet, co czyni, wyciągnęła złożone ku niemu ręce.

— Nie wypędzaj mnie, Arturze! jękła głucho.

Lord Chesley zatoczył się, jak pijany, potem oparł się całym ciężarem ciała o stół i szeroko otwartemi oczami wpatrzył się w twarz bony.

— Boże wielki..... Boże..... szeptał ochrypłym głosem, czy umarli powstają z grobów? Ona ma oczy i głos Helenki! Kobieto! krzyknął, i rzucając się nagle ku niej, uchwycił jej ręce, kim ty jesteś? Odpowiadaj, bo oszaleję!

Helenka usiłowała oswobodzić ręce z żelaznego uścisku.

— Jesteś Helenką? wołał, drżąc, jak we febrze. Widzę twarz, której wyraz znam tak dobrze, a która mi jednak zupełnie jest obcą! Odpowiedz, na Boga!

— Jestem twoją żoną, rzekła cicho, której nie kochałeś! Wiedziałam o tem i wolałam uchodzić za umarłą, niż żyć z tobą!

Artur upadł na kolana i po raz pierwszy ujrzała go Helenka płaczącego.

(Dokończenie nastąpi.)

Morska panna.

(Z opowiadań starego marynarza.)

Było to już dawno. Prowadziłem wtedy wielki okręt kupiecki z ładunkiem herbaty, porcelany i tuszu z Hong-Kongu do San-Francisco. Z jednego świata do drugiego. A czy wy wiecie, co to jest przepłynąć cały Ocean Spokojny, to morze nad morzami, które dlatego nazywa się spokojnem, że rzadko spokojnem bywa? Ba, skąd wy byście to wiedzieli! Zresztą, jeżeli pływaliście po niem, to trzymaliście się starych, znanych gościńców, na których żeglarze znają się nawet z delfinami. Ale ja szukałem nowych nieznanych dróg i na nich widziałem i doświadczyłem takich zdarzeń, jakich nikt chyba we śnie nie widział.

Śliczna noc była. Płynęliśmy w pobliżu Honolulu. W górze księżyc wisiał jak srebrna kula, fale zaledwie leniwo kołysały się, ciepły wiaterek lekko wzdymał żagle i stary nasz „Sardanapal“ płynął cicho i spokojnie, jakby ciągnięty przez delfiny. Siedząc na pokładzie, spoglądałem przez lunety na widnokręg.

No północy nie spostrzegłem nic szczególnego; gdy jednak zwróciłem lunetę w stronę Honolulu, ujrzałem coś niezwykłego, coś nieprawdopodobnego.

Na falach kołysała się łódź ze ściągniętym żaglem. Z łodzi wychylał się człowiek, i kształtnej postaci, trzymając w objęciach wynurzającą się z fal syrenę. Oczom własnym nie wierzyłem — a świat nie widział podobnej piękności. Gdyby taka kobieta była na ziemi, wszyscy ludzie poszaleli by. Jak złota kaskada spływały jasne włosy z pięknego czoła w tył, aż w wodę, twarz tak śliczna, że Wenus, gdyby ją widziała, spaliłaby się ze wstydu, oczy jak dwa najcudniejsze szafiry, usta purpurowe jak krew, a ramiona, a piersi — na opisanie tego słów niemam. Takiej piękności nie przeszkadzał nawet ogon rybi, którym poruszała w wodzie, aby utrzymać się na powierzchni. Trzymali się tak w objęciach, a mnie zdawało się, że słyszę nawet odgłosy gorących pocałunków.

Niezwykła para kochanków nie widziała wcale, co się w koło nich działo. Z morza dokoła łodzi wynurzyło się siedem strasznych głów. Były to morskie psy-cerbery. Ze strasznych ślepiów tryskały zielone płomienie. Przy samej łodzi wysunęło się z wody siedem ramion polipa. Gibkie, miękkie ramiona objęły morską pannę, upojoną miłością, zlekka wydobyły z objęć kochanka i ściągnęły w odmęty morskie... Wszystko znikło, tylko w łodzi pozostał samotny młodzieniec i z rozpaczą spoglądał w głębie morskie. Księżyc skrył się za chmury — nie widziałem nic więcej.

W dwa lata później spotkałem w Melbourgu, w Australii, znajomego kupca z Honolulu. W pogawędce opowiedziałem mu widzianą przed dwoma laty scenę nocną.

— Jakto, widziałeś pan to naprawdę? — pyta zdumiony. — Posłuchaj więc pan, to ciekawa historya. Syn jednego z najbogatszych mieszkańców naszych zniknął przed dwoma właśnie laty. Podobno zakochał się w jakiejś syrenie. Gdy jednak jakaś nieznana potęga wydarła mu kochankę, został pustelnikiem morskim i na pełnem morzu na łodzi, gdzieś w okolicach wyspy Narodzenia bogobojny żywot wiedzie.

Opowiadanie to utkwiło mi w pamięci. Gdy tylko mowa była o Honolulu i wyspie Narodzenia, przypominałem sobie widzianą przezemnie scenę i opowiadania kupca.

Po dziesięciu latach płynąłem znowu do San Francisko. Rzecz prosta, zboczyłem umyślnie ku wyspie Narodzenia. Czternaście dni krążyliśmy po morzu napróżno, załoga szemrać zaczęła. Aż piętnastego dnia chłopiec z gniazda zwiastował, że widać płynącą jakąś wysepkę. Chwytam za lunetę: widzę rzeczywiście coś podobnego do płynącej zielonej wysepki z wielką skalistą jaskinią.

— Jest pustelnik morski! — zawołałem — i całą siłą pary popłynęliśmy ku wysepce. Wkrótce byliśmy u celu i zobaczyliśmy rzecz nie do wiary... okręt zamieniony w wyspę! Wszędzie drzewka, krzewy i mech, nad jaskinią zaś błyszczy wielki krzyż srebrny. Wskoczyliśmy do czołna i za chwilę wstąpiłem na sztuczną wyspę.

Nigdzie żywej duszy; idę więc ku otworowi wielkiej jaskini i — co tam ujrzałem, temu nie uwierzycie.... Wnętrze jaskini było podzielone na dwie części. Prawa stanowiła bogato urządzony pokój, z dywanami na podłodze; na sofie tureckiej spał przystojny mężczyzna w średnim wieku o bujnych włosach i zaroście, przypruszonym zlekka siwizną, w pięknej odzieży. Obok na fotelu leżał habit pustelniczy. Na lewo zobaczyłem jeszcze wspanialej ubrany salon czy też łazienkę, gdyż stał wprost na wodzie, bez podłogi. Wokoło ścian tylko były schodki i siedzenia. Patrzę — w wodzie pluszczą się i igrają dzieci. Było ich pięcioro — dwóch chłopców i trzy dziewczątka, a wszystkie z rybiemi ogonami zamiast nóg. W rogu na prawo, na rozesłanych miękkich dywanach spoczywała śliczna syrena, pół kobiety i pół ryby, i patrzy spokojnie na młode pokolenie igrające w wodzie i pluszczące ogonkami. Przy boku matki siedzą dwie starsze córki, podrastające syrenki i bawią się złotą siecią. Matka, ta sama morska panna, którą przed dwunastoma laty potworny polip ściągnął w głębie morskie, piękna jeszcze jak wtedy, tylko cokolwiek zmężniała. Gdy niezwykła rodzina spostrzegła mię, z krzykiem wielkim wszyscy w jednej chwili zniknęli pod wodą.

Hałas przebudził pustelnika, który wybiegł do mnie — i o mało nie padłem ofiarą pierwszego gniewu jego. Widząc mnie jednak bezbronnym, rozpoczął rozmowę, rezultatem której było to, że nietylko pogodziliśmy się, ale nawet zaprzyjaźnili. Musiałem mu tylko przysiądz uroczyście, że tajemnicy jego małżeństwa z morską panną nigdy nie zdradzę. Nie pytajcie mnie o nic, nie żądajcie żadnych objaśnień — mam na ustach pieczęć. Po mojej śmierci dowiecie się z testamentu najdokładniej o wszystkiem, za życia nic więcej odemnie nie usłyszycie. Powiem wam tylko, że pustelnik morski z dziwną rodziną swoją żyje dotąd w Oceanie spokojnym. Przed rokiem odwiedzałem ich nawet.. *m.*

Kronika.

Rok 1900 — początek nowego stulecia, albo też rok przejściowy do nowego stulecia — jest rokiem różnych pamiętnych rocznic i jubileuszów. Oto Rzym przyciąga do siebie pobożnych pątników, oto wystawa paryzka nęci ciekawych i chciwych wiedzy, w Krakowie zaś święciła cała Polska pięćwiekową pamiątkę założenia pierwszej wszechnicy polskiej, a drugą z rzędu co do wieku w całej Słowiańszczyźnie. Wreszcie święciły szczególnie Niemcy, a mianowicie towarzysze drukarscy pięćwiekową rocznicę urodzin wielkiego wynalazcy sztuki drukarskiej ruchomemi czcionkami, Jana Gutenberga.

W Poznaniu rocznica ta odznaczała się tem, że zachowano pewne równouprawnienie językowe w czasie uroczystości. Jest to jak na dzisiejsze czasy fakt godny pamięci.

Ze wszystkich jednak rocznic i pamiętnych dni nam Wielkopolanom najdroższą i najmilszą była setna rocznica urodzin ś. p. dr. Karola Marcinkowskiego, filantropa, człowieka wielkiego i wielkiego patryoty. Jakiż to był umysł płodny w pomysły, ileż zostawił po sobie myśli do wykonania, ileż haseł, za któremi iść i dzisiaj nam trzeba! Nie rzucał wielkich i szumnych programów, bo przeciwnikiem był wszelkich ostentacyi, lecz wyrzekł dwa słowa: „*Praca i oświata*“ i one stały się osią dla jego działalności i dążeń i dla działalności wielu.

Tych haseł nie zdołał stłumić ani rok 48, ani 63. Przeciwnie po bohaterskich a bezskutecznych próbach — świadomość o wielkiej prawdzie zawartej w tych słowach odżyła tylko silniej.

Ci zaś, co inne znaleźli hasła i w dobrej wierze za niemi szli, a kalumniowali Marcinkowskiego, że uważając je za złudne, za niemi iść nie chciał, w duchu go przepraszali za krzywdę mu wyrządzoną — przekonawszy się, że jedyna droga do utrzymania bytu narodowego, to: „*Praca i oświata*“.

Mimowoli przypominają się tu słowa znakomitego Franklina: „Kto wam powie, że zbogacicie się czem innem, a nie pracą — ten was okłamuje“.

Te drogi nam wskazał dr. Karol Marcinkowski i to największa zasługa. Lecz jako człowiek czynu nie zadowolił się jedynie wydaniem haseł, zamienił je zaraz w czyn. „Bazar“ ma być ogniskiem przemysłu i handlu polskiego, a więc środowiskiem pracy, Towarzytwo Pomocy Naukowej ogniskiem *oświaty*.

Cicho i skromnie obchodziliśmy ten dzień pamiętny, całkiem w myśl naszego wielkiego dobroczyńcy — bo, jak już powiedziałem, nie lubił on ostentacyi.

W pięknym kościółku na św. Wojciechu msza solenna dziękczynna, liczna w nabożeństwie skupiona publiczność, z rożnych sfer się rekrutująca, kilka wieńców.... i wszystko.

Im skromniej na zewnątrz dzień ten obchodzono, tem uroczyściej w sercach naszych powinniśmy uczcić pamięć męża, a uczcimy go postępując w myśl jego, *pracując* i starając się o zdobywanie *oświaty* i jej *rozszerzanie*.

Zadziwiające wieści krążą po mieście o porywaniu dzieci. Prawie wierzyć się

nie chce, gdyby te wieści nie były autentyczne i dokumentami stwierdzone.

Tak się dzieje dziś, gdy nie weszło jeszcze w życie prawo o przymusowem wychowaniu. Prawo to rozszerza rozmaite kompetencye władz, a nie uwzględnia wcale naszej narodowości. Ileż to sierot, ileż to podrzutków ileż to zaniedbanych dzieci polskich, zginie wywiezionych w dalekie strony, w morzu germanizmu.

Z krytycznością naszego położenia mnożą się nasze obowiązki — i zaiste trzeba się zapytać, czy sił nam stanie na ich wypełnienie?

A jednak sił nam stać musi!

Wśród licznych obowiązków, niewiem który najważniejszy — wszystkie są równie ważne, lecz najbliższym i najsympatyczniejszym to dbałość o młode pokolenie.

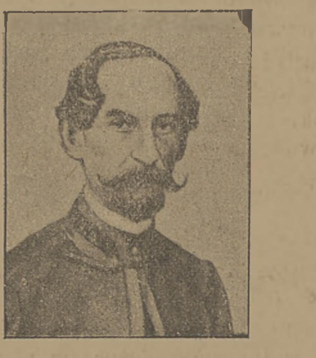
Przecież widzimy co się dzieje w szkołach, jak tam lżą nasze dzieci, jak pogardzają niemi, że *polskie*, jak wywożą z pod opieki matek — a więc pilną uwagę zwróćmy na dzieci od lat najmłodszych — bo „młodość to rzeźbiarka, która wykuwa wiek cały.“ Więc od młodu zaszczepiać nam w duszę dzieci przywiązanie do języka i do wiary ojców i do tej ziemi-matki.

Fakt wywiezienia kilku dziewczątek niechaj będzie przestrogą dla rodziców. Niechaj nie pozwalają im się wałęsać po ulicy, niechaj dbają o ich utrzymanie, niechaj nie dają zgorszenia kłótnią, rozpustą, pijaństwem, bo to wszystko mogłoby dać przyczynę władzy, szukającej przyczyny do wtrącania się do stosunków domowych. Czuwajcie, bo wróg nie śpi, lecz jako lew ryczący chodzi i szuka, gdzieby znalazł ofiarę.

Verus.

Floryan Ziemiałkowski.

W ostatnich dniach marca rb. umarł ostatni z tych, co politykę polską w Galicyi zwrócili na tory ugodowe. Na taką ugodę w Austryi był czas, była i możność — owszem była nawet konieczność wobec systemu bismarkowskiego w Poznańskiem, a murawiewowskiego w Kon-



Floryan Ziemiałkowski.

gresówce i na Litwie. Trzeba się było oprzeć na monarchii, która zapewniając część swobód narodowych, mogła stać się ostoją dla polskości, a którą położenie jej w ówczesnych czasach zdawało się zmuszać do polityki zagranicznej zgodnej z naszemi ideałami i aspiracyami....

Ugoda polsko-austryacka stanęła wbrew konserwatystom, głównie za sprawą Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego. Wprawdzie na razie nie otrzymaliśmy wszystkiego, czegośmy żądali, — ale zajęliśmy takie stanowisko w Austryi, że zdawało się, iż niczego odmówić nam nie będzie można. Na nieszczęście, po śmierci Gołuchowskiego i oddaleniu się Ziemiałkowskiego do Wiednia, ster rządów galicyjskich objęli inni, a ci zadowolili się orderami, urzędami, synekurkami, koncesyjkami i balami dworskimi.

Nie zmniejsza to zasługi Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego — owszem zwiększa ją, bo tylko ich polityka przyniosła krajowi korzyści.

Gołuchowskiemu stawiają pomnik we Lwowie — i słusznie. Dla Ziemiałkowskiego Sejm krajowy pożałował kawałka ziemi ojczystej. Zamiast sprowadzić jego szczątki, Sejm zdobył się na suchą mowę marszałka i wysłanie delegacyi na pogrzeb.

Trudno — Ziemiałkowski był demokratą! D.

Nasze illustracye.

Waszyngton mianuje Kościuszkę jenerałem. — Tadeusz Kościuszko, naczelnik Polaków w wiekopomnem powstaniu 1794-go roku, udał się po uwolnieniu z więzienia petersburgskiego do Ameryki, gdzie walczył dzielnie i mężnie w sprawie niepodległości Ameryki. W uznaniu zasług zamianował go Waszyngton generałem. Chwilę tę unaocznia nam illustracya albumowa.

* * *

Jenerał Bem w otoczeniu sztabu w Siedmiogrodzie. — Sławny i waleczny jenerał polski, Józef Bem, wkroczył w końcu 1848 go roku podczas powstania węgierskiego z polecenia rządu węgierskiego do Siedmiogrodu na czele 8000 wojska. Z wojskiem tem walczył Bem zwycięzko. Illustracya zamieszczona na stronie 698-ej przedstawia jenerała Bema w otoczeniu swego sztabu.

* * *

Na stronie 700 ej znajdą czytelnicy reprodukcyę pięknego obrazu znanego artysty-malarza polskiego, Juliusza Zubera, pod tytułem *Opowiadanie urlopnika.* Treść nie potrzebuje komentarzy. Widzimy urlopnika, który na czas krótki po raz pierwszy zapewne przybył z wojska w progi ojczystej chaty i opowiada o ludziach i krajach, które poznał, a cała rodzina z zaciekawieniem mu się przysłuchuje.

Obok obrazu zamieszczamy portret artysty-malarza p. Juliusza Zubera.

* * *

Książę Witold przyrzeka Krzyżakom zemstę wobec płonącego Kowna. — Krzyżacy niepokoili długo Polskę i Litwę, rabując, łupiąc i paląc miasta i wsie. Dopiero wielka bitwa pod Grunwaldem, w której padło 50,000 Krzyżaków, cios im zadała śmiertelny.

Illustracya zamieszczona na stronie 703-ej przedstawia chwilę, w której książę Witold przysięga Krzyżakom zemstę wobec płonącego Kowna. *W. R.*

przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Kwit abonamentowy na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczony jest na początku niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 1 marki posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, a więc *bezpłatnie*

ładną książkę.

Kto zjedna kilku abonentów i nadeśle kwity, ten otrzyma **kilka ładnych książek.**

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Wiadomości.

Najp. Ks. Arcypasterz odbył w tych dniach pierwszą po przebyciu kryzis choroby przejażdżkę w koło wałów wyspy tumskiej. Znak to najlepszy postępującej rekonwalescencyi. Wiadomość ta napełni zapewne szczerą radością serca wszystkich wiernych dyecezyan.

Szanownym Czytelnikom z Bruchu i okolicy zwracamy uwagę na to, iż agenturę na „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ obejmuje z dniem 1-go lipca b. r. w miejsce pana Chwiłkowskiego pan *Walenty Grześkowiak w Bruch, Ludwigstr, 269/5* i prosimy u p. Grześkowiaka „Pracę“ i „Czytelnię“ zaabonować.

Panu Chwiłkowskiemu za dzielną i niestrudzoną pracę w zjednywaniu nam abonentów najserdeczniejsze składamy podziękowanie i nie wątpimy ani na chwilę, że p. Grześkowiak wstąpi w ślady swego poprzednika.

W procesie o rzekomą zbrodnię zdrady stanu skazał najwyższy sąd Rzeszy w Lipsku po kilkodniowych obradach p. Witolda Leitgebra z Ostrowa na rok fortecy po odliczeniu 3 miesięcy więzienia śledczego. Panów Kolendę i Melerowicza uwolniono. Bliższe szczegóły podamy w następnym numerze.

Dnia 22-go bm. o godzinie 7 wieczorem poświęcił Najprzew. ks. Biskup dr. Likowski kamień węgielny pod nowy kościół na św. Łazarzu. Publiczności zebrało się kilka tysięcy. Ks. Biskup przemówił do wiernych po polsku, jeden z kanoników po niemiecku.

Nowe pismo. W Wągrówcu wychodzić zacznie od 1-go lipca nowa gazeta polska „Pałuczanin“. Będzie to odbitka wychodzącego w Gnieźnie „Lecha“. „Szczęść Boże!“

Na czytelnie ludowe nadesłał nam p. Kazimierz Krygier z Nakła 6,15 mrk., które zebrał na weselu u państwa Schulz w Kwasutach. Dalsze datki na cel ten przyjmujemy chętnie.

Na zakupienie domu w Konstantynopolu, w którym mieszkał i umarł Adam Mickiewicz, nadesłali: Ks. Proboszcz Wł. Hemerling z Góraju pod Międzychodem 5 marek, pani Antonina Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 1,70 mrk.

Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmujemy.

Petycyą do sejmu uchwaloną na wiecu kobiet wielkopolskich, tyczącą się języka polskiego i udzielania religii w języku ojczystym, podpisywać można: w biurze pomocy, Wiedeńska 10, w Domu katolickim, św. Marcin, u p. Ignatowicza, Wrocławska ulica, u p. Mroczkiewicza, Stary Rynek, w cukierni p. Pfitznera, Stary Rynek, u p. Rosego, Nowa ul., w restauracyi p. Matuszewskiego, ul. Kozia, u p. Sniegockiego, Wilhelmowski pl., w cukierni p. Młotowskiego, Wilda, w restauracyi p. Waltera, Szkólna. Podajemy również do wiadomości, że codziennie nadchodzą na ręce nasze bardzo liczne podpisy matek polskich z miasteczek prowincyonalnych i wsi.

Komitet.

W tych dniach wyjdzie drukiem broszurka zawierająca Opis wieca kobiet wielkopolskich oraz wszystkie głosy mówczyń wiecowych.

Cena broszurki: 10 fen; 10 egz. 1 mk. z przesyłką 1,30 mk., 25 egz. 2 mk. z przesyłką 2,50 mk., 50 egz. 4 mk. z przesyłką 4,50 mk. Zamówienia jak najwcześniejsze wraz z odnośną kwotą prosimy łaskawie przesyłać na ręce p. Janiny Omańkowskiej, Wiedeńska 10. *Komitet.*

☞ **Do dzisiejszego numeru dołączamy karty korespondencyjne z ryciną, które prosimy rozdać pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych z zachętą do prenumeraty „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“.**

Do skompletowania kwartalników potrzebny nam jest numer 24 z dnia 10 b. m. Szan. Czytelników upraszamy o łaskawe nadesłanie nam tego numeru, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Od Redakcyi.

Szanownym Czytelnikom, a mianowicie Duchowieństwu, oraz tym wszystkim, którzy z powodu zmiany kwartału wyrazili nam listownie życzenia jak największej liczby nowych Czytelników, serdecznie niniejszem dziękujemy.

Niemniej też dziękujemy za dowody uznania i słowa zachęty, które nas doszły z powodu procesu o artykuł: „Lojalni i wierni poddani“.

Do wszystkich zaś Czytelników zwracamy serdeczną prośbę na tem miejscu, aby artykuł ten, za który dziś idzie do więzienia na starość człowiek, co nigdy w więzieniu nie siedział — jeszcze raz uważnie przeczytali i w duszy głęboko zapisali. Niech nie nadarmo pójdą te nasze ofiary!

Panu Bralińskiemu, Paderborn. W liście było tylko podziękowanie d-ra R. za pamięć o „Pracy“ i prośba o łaskawe współpracownictwo.

Wielebnemu księdzu B., gwardyanowi w J. (Galicya). Prosimy bardzo o artykuły krótkie i treściwe.

Wielebnemu księdzu Kl. w S. Pan Chełmikowski, handel żelaza w Poznaniu przy ulicy Półwiejskiej.

Stałemu Abonentowi w Poznaniu. Dziękujemy za słowa uznania; zawsze stoimy otwarcie i stać będziemy *usque ad finem* w obronie uciskanych.

Janusz N. Toruń. Na końcu ulicy Strzeleckiej w mieście; w blizkości tej fabryki można dostać stancyę ze stołowaniem za przystępną cenę.

Panu Wacławowi O. w Środzie. Jeżeli oryginalna — prosimy.

P. J. Kościński, Żnin. Od oprawy półrocznika „Pracy“ płaci się zwykle 1,50-2 m.

PP. St. Rosenberg, Wolsztyn; M. Ziołkowski, Froederan, Pr. Zach.; Roliński, Osterwik a/H.; A. T. i Pełczyński, Poznań; *Hemel, Streganz-Wilhelmhafen; Gorliwemu Czytelnikowi w Hanne.* Serdeczne „Bóg zapłać“ za nadesłanie numeru 24-go.

P. W. Mania, Łaszewo Pr. Zach. Żądane numera wyczerpane.

Humorystyka.



U malarza

Prosze pana, co będzie kosztował mój portret olejny
300 rubli.
A takiemi farbami, jak się kuchnie maluje, to ile?
To mogę pania da-mo *pomalować*.

Zdał egzamin.

— A widzicie, mówiliście, żem do niczego, a ja zdałem egzamin.
— Nie może być?
— I wydali mi świadectwo...
— Na pomocnika aptekarskiego.
— Ale gdzież tam, zdałem egzamin na rowerzystę i mam świadectwo, dające mi prawo jeździć po wszystkich ulicach miasta.

Dwie racye.

— Dziwnie teraz świat się zmienił,—
Rzekł raz pan Piotr do Ignaca, —
Dawniej każdy cnotę cenił,
Chlubą wszystkich była praca.

Dzisiaj, wierzaj mi, sąsiedzie,
Nie blaguję, jak Bóg miły,
Młodzież to jak z beczki śledzie,
Ni do młota, ni do piły!...

Ale za to rezonuje
Na swój rozum po wieczorkach,
Chwali Zolę, wint flirtuje,
Aż nareszcie kończy.... w Tworkach.*)

E, przesadzasz panie Piotrze, —
Buchnął Ignac jak pochodnia, —
Że się młodzież w świecie otrze,
Wszak to jeszcze nie jest zbrodnia!

Toć i myśmy przecie ongi,
I hulali, i wstawiali,
Wyrośliśmy jak te drągi,
No i cośmy dokazali?...

Teraz właśnie kres ciemności,
To się bardzo dużo ceni,
Można widzieć w ciele kości,
Za pomocą X. promieni!...

Albo para, elektryczność,
Czy nam były dawniej znane?
Dziś kto żyje ma z nią styczność,
Za cud świata uważane.

A że wiek ten ma swe wady,
Pcha moralność do upadku,
Temu winny złe przykłady
Naszych przodków dane w spadku.

Więc nie świat ten, ale starzy,
Zła owego są przyczyną;
Bo kto pierwszy skrę rozżarzy,
Pożar będzie jego winą.
K. G.

*) Zakład dla obłąkanych w Kongresówce.

Dowcip i wino.

Suchy dowcip z mokrem winem
Wtenczas się kojarzą,
Gdy pierwszy jest wiosny synem,
Drugi — z starca twarzą.

Trudy.

Gdyby dzionki po kwiatach wciąż nam upływały,
W deser by się zamienił byt człowieka cały;
Lecz, że żywot najczęściej pełen trudów bywa,
W tem właśnie jego wartość polega prawdziwa.

Łatwo.

Ah, mateczko! Leon wyznał,
Że mię kocha ponad duszę!
Że pomimo wszelkich przeszkód,
Jego żoną zostać muszę!
Ja go kocham też miłością,
Tak gorącą, silną, czystą,
Bo tak zgrabnym jest chłopakiem,
No, i przytem — szyk cyklistą!
— Próżne, próżne te pochwały,
Wierzaj, dziecię moje drogie!
Na małżeństwo to się zgodzić
W żaden sposób ja nie mogę!
Jak przejdziecie drogę życia,
Kiedy pustki są w kieszeni?
— Jak przejdziemy? Bardzo łatwo!
On — na tandem — rower zmieni!

Mąż i żona.

— Ach! przez sen ciągle gadasz, mącisz mi spoczynek!
Krzyknie jejmość na męża, budząc go wśród drwinek.
— Dajże mi święty spokój! mruknie mąż zły prawie, —
Mówię przez sen, nie mogąc dojść do słów na jawie!

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

K. SUPPERT

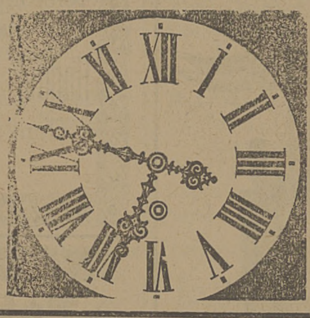
Fachowy warsztat reparacyjny.

Szwajcarskie zegarki. Poznań, Biżuterya.

św. Marcin Nr. 19.

Potrzebny uczeń.

Odebrał świeżo i poleca
wielki
wybór zegarków
złotych, srebrnych, metalowych z najlepszych fabryk szwajcarskich, regulatorów i zegarów salonowych, budzików oraz łańcuszków złotych, srebrnych i niklowych.
Gwarancya kilkoletnia.



Złote i srebrne repetjery.

Dział wyrobów złotniczych
zawiera **najmodniejsze przedmioty** z srebra, złota i double jako to: garnitury damskie, broszki, kolczyki, bransoletki, kolje, krzyżyki, szpilki w krawat. — **Biżuteryą koralową, granatkową** itd. Pierścionki z brylantami, szafirami, rubinami lub turkusami w rozmaitych fasonach i cenach, oraz bardzo wiele przedmiotów, stósownych na **podarki okolicznościowe.** 270
Obrączki ślubne.
Ceny bardzo umiarkowane. Usługa skora i rzetelna gwarancya.

Dla Rodaka poszukujemy kupna
majątku
około 1000 mórg z przyzwoitym dworkiem, ładnem zabudowaniem i z dobrą ziemią i to przy zaliczce do 100,000 marek w gotówce.
Pospiech pożądany.
Drwęski & Langner
Centralna Agentura Dóbr
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Nader korzystnie położona
wioska
ca. 650 mg. incl. 60 mg. wybornych łąk, **ziemia przeważnie pszenna,** dobre masyw budynki, dostateczny inwentarz, dobre urodzaje, **ładny dworek w rodzaju willi o 8 pokojach w parku,** od miasta powiatowego z król. gimnazyum i t. d. pół milki i **z szosą w miejscu,** jest nader korzystnie, bo za 125,000 mk. do nabycia. Taksa landszaftowa jeszcze z dawnych lat wynosi przeszło 100,000 mk. Hipoteka uregulowana; zaliczki potrzeba przynajmniej 45,000 mk.
Drwęski & Langner,
Centralna Agentura Dóbr
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱
20,000 mk.
na hipotekę po 5% na lat 6 poszukuję zaraz **na folwark** 358 morgowy. 366
Oferty upr. do ekspedycyi „Pracy" p. l. **M. B.**
✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱



W większem mieście powiatowem, z król. gimnazyum, wyższą szkołą żeńską i t. d. jest **na sprzedaż lub zamianę śliczna**
kamienica
położona w najlepszej części miasta, z obszernym placem budowlanym etc. W kamienicy tej mieszka burmistrz, doktór i trzeci podobny lokator, a dzierżawa przynosi ca. 3000 marek rocznie, nie wliczając placu budowlanego. — Taksa ogniowa wynosi 46,000 mr. Cena pożądana 50,000 mr. zaliczki 15,000 marek, ewent. i mniej
Powyższa kamienica jest też **do zamienienia na**
folwark
przynajmniej 300 mórg, w którym to razie właściciel kamienicy, **który** jest zawołanym rolnikiem, **gotów dopłacić jeszcze gotówką.** Łask. oferty upr. pod litr. P. P. 1 do Ekspedycyi „Pracy" w Poznaniu.

Pożyczki na hipoteki
na grunta wiejskie i miejskie natychmiast i później. Warunki jak najkorzystniejsze. Prospekt do dyspozycyi.
Allgemeine 90
Verkehrs-Anstalt,
Berlin S. W. 12,
Zimmerstrasse Nr. 87.

Smyrneńskie
wyroby ręczne
i 1025
dywany smyrneńskie
cenniki darmo i franko.
Fabryka wełny
Wilh. Lau, Arnswalde.
W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.

Każdy może wziąść udział. Potrzeba 35 marek celem nabycia lepsz **koła (roweru).** Bliż. szczeg. udzieli R. Köhler, Magdeburg, Wilhelmstr. 375



Edmund Paulus
Markneukirchen Nr. 206.
Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrem wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą.
Cenniki franko. 338

Na sierpień znajdą miejsca
Nauczycielki
w Księżtwie, Królestwie i Galicyi na pensye 600—1200 m. Zależy to od biegłości w francuzkiem, angielskiem i muzyce. 355
A. Koczorowska,
Nauczycielka, Strzelecka 3. b

Kołdry
(Steppdecken)
w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko *w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder*
R. Bild'a
a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43
R. Bild'a
pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**
Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.

Fabryka mydeł
domowych, technicznych i toaletowych
(jedyna istniejąca polska) jest
St. Żychlińskiego
w Gnieźnie.

Stiftung von Zimmerman'sche Naturheilanstalt
CHEMNITZ. 209
Zakład Zimmermanna naturalnego leczenia w Kamienicy (Chemnitz). 4 aprobow. lekarzy. Dyryg. lekarz Dr. Disque, pow. lekarz pozasłużbowy. II lekarz Dr. Burckhardt. Cena od 5—12½ M. dziennie za wszystko włącznie lekarz i kuracya, pierwsza konsultacya, przekąski itd. Prospekty bezpłatne przez inspekcyą.

Tylko kapsułki Sanidowe
(10 gr. San., 3 Sal., 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez rycydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Żadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za flaszkę. 1057
Skład główny: **L. Hofmann,** apteka, Schkenditz — Lipsk. W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

Gimnazyastów
przyjmuje na stancyą
H Siemiątkowska
Długa ul. nr. 11. parter.

Korzystna przyszłość!
Skład księgarski,
papieru
i dewocyonalii
jest od zaraz do nabycia przy korzystnych warunkach w Prusach Zachodnich.
Łaskawe oferty uprasza się przesłać do eksped. „Pracy" pod lit. **P. 359.**

Pokój meblowany
dla 2 panów, z stołowaniem 40 mrk. miesięcznie, od 1-go lipca do wynajęcia.
Poznań, ul. Długa 11,
parter na prawo.

Ucznia
z odpowiednim wykształceniem szkólnem przyjmie zaraz 373
M. Jankowski,
Drogerya w Grodzisku.

Uczeń
chłopiec uczciwych rodziców, chcący się wyuczyć dokładnie piekarstwa i piernikarstwa, znajdzie miejsce pod korzystnemi warunkami u 364
K. Górskiego
w Kostrzynie.

Potrzebuję od 1-go lipca
Pomocnika
zegarmistrzowsk.
który by mógł miejsce pryncypała zastępować. 367
H. Baranowska,
Gołańcz.

Restauracya
i wyszynk wódek z pełnem konsensem jest zaraz do wydzierżawienia. Zgłoszenia przyjmuje właściciel **Szkólna ul. 4.** 385

Ucznia
przyjmie zaraz 376
S. Mierzyński
Nastp.
L. Opieliński,
Drogerya pod łabędziem
w Krotoszynie.

Ucznia
z odpowiednim wykształceniem szkólnem, syna poczciwych rodziców, przyjmie zaraz
E. Glatzel, 374
handel korzenny i destylacya,
Nakło nad Notecią.

Do sprzedania na wsi masiw **oberża** o kilku pokojach z rolą 15—20 mg., wpłaty 9—10,000 m. Budynki wszystkie masiw. Może być także **zamieniona na kamienicę** w mieście, w takim razie będą dodane **około 200 mórg** pszennej i żytniej ziemi. Bliższ. wiad. udzieli
Fr. Niedzielski,
Poznań, Piekary nr. 6.

Cukiernia na prowincyi, elegancko urządzona, z pełnem konsensem, zaraz do odstąpienia. Egzystencya dobra. Bliższ. wiad. udzieli **Fr. Niedzielski,** Poznań, Piekary nr. 6.

Ucznia
z dobrem wychowaniem potrzebuje do handlu żelaza zaraz (351)
W. Degórski,
Wronki.

W sądzie.

— Oskarżony, sądzę, że wobec tylu dowodów, przyznasz się do winy nareszcie!

— Nie mogę, panie sędzio! Mój adwokat przekonał mnie o mojej niewinności.

Jedyny krok.

Od dobrobytu
Krok do — przesytu!

Centralna Drogerya J. Czepczyński

Hurtownie i detalicznie.

I-szy skład: Poznań, Stary Rynek Nr. 8.
II-gi skład: Inowrocław, ulica Fryderykowska Nr. 1

poleca po znanych tanich cenach w doborowych gatunkach.

Mydło i wszelkie artykuły do prania.
Świece wiedeńskie, kandelabrowe i powozowe.
Herbaty chińskie funt po 1.40, 2.00, 2.50, 3,00 4.00, 5.00 i 6.00 Mr.
Prósze herbaciane funt po 1.40, 1.60 i 2.00.
Czekolady i Kakao Sucharda, Van Houtena, Sobczyka etc.
Oliwę prowandzką.
Essencye octowe i cytrynowe Elba.
Sok malinowy i wiśniowy.
Arak, koniak.
Essencye do wódek wszelkich, za 2,15 ma się 2¼ litra dobrej wódki.
Ekstrakt mięsny Liebiga.
Migdały, szafran, wanilią.
Perfumy, pudry i mydła toaletowe krajowe i zagraniczne w wielkim wyborze.
Dentipuryna Dr. Koszutskiego.
Szczoteczki do zębów, włosów i paznokci.
Gąbki toaletowe i do powozów.

Telefon Nr. 238.

Zamówienia po nad 10 Marek wysełam franco pocztą lub też koleją odwrotnie.

Specyalność: Farby i lakiery na posadzki.

118

Mydła i artykuły do prania i oświetlania.

Akt.-Gesellschaft
A. Schmidt
Osterode
Königsberg-Tilsit-Posen

Najlepsze i najtańsze
parowe
młockarnie
nadzwczajny
snkces



Hornsby'a młockarnie

pojed. Remig.	M. 800
z ulepszoną konstrukcyą	2900
Lokomobile	
stojące	1800
naftowe	2750
leżące	3700
wiązacze słomy	1200
elewatory	375
kozły do lin drucianych	1?5
prasy do słomy	3300
spiralne młockarnie	475
ostrokątne	113
maneże	145

Zastępcy poszukiwani z odwołaniem się na „Pracę."



Świeża serya hypotek

pierwszomiejscowych 5% nadeszła, na co Szan. Dozorom Kościołów i pp. Kapitalistom zwracamy uwagę i nadmieniamy, że **kasa oszczędności** naszego Banku od depozytów **bez względu** na stopę procentową w Banku Rzeszy i nadal płaci **4½%** za kwartalnem, a **5½%** za półrocznem wypowiedzeniem. 384

Bank Parcelacyjny
na Piekarach nr. 18.

Parcelacya.

W środę, dnia 11 lipca r. b. od godziny **9** przed południem począwszy sprzedam w oberży **w Olszy** pod Mogilnem 372

folwark Olsza nr. 3a

w całości lub w parcelach 2?0 mórg dobrej ziemi, 2 osobne podwórza z budynkami, ogrody, place do budowli, żywy i martwy inwentarz, całe żniwo. Reflektanci mogą sobie i przed terminem posiadłość obejrzeć i zemną kontrakta zawierać. Wyciągi i mapka z katastru leżą w mem biurze do przejrzenia.

Józef Stark, Mogilno.

We **wtorek,** dnia **3 lipca 1900** od godziny **9** rano począwszy parcelować będziemy folwark nasz 377

Ignalin pod Trzemesznem

składający się z **300 mórg dobrej roli i 150 mórg pięknych łąk** z głębokim pokładem wyśmienitego torfu

Do obszernych budynków pozostawimy według życzenia 200 lub i więcej mórg, a ewentualnie sprzedamy folwark w całości.

Cena jest mierna, a warunki znane i dogodne.

Bliższych wiadomości udzieli na miejscu przed terminem rządzca nasz p. Goździewski, do którego się zgłaszać prosimy celem obejrzenia.

Bank Parcelacyjny w Poznaniu, Piekary 18.

Kupuję gospodarstwa

na parcelacyą w każdej wielkości i płacę gotówką. 11

L. Mikulski

interes parcelacyjny założony od roku 1892 w Inowrocławiu.

Spółka Rolników parcelacyjna

Poznań, ul. Wilhelmowska nr. 18

pośredniczy w sprzedaży i kupnie 360

majątków ziemskich,

parceluje

gospodarstwa, folwarki i majątki ziemskie

w każdej wielkości na rachunek właściciela lub własny; — Wpłaty na kupione parcele bardzo umiarkowane.

Zajmuje się pośrednictwem w

wydzierżawianiu majątków ziemskich

większych i mniejszych.

Do kasy oszczędności

przyjmuje depozyta, płacąc od takowych obecnie:

3½% za każdorazowem wypowiedzeniem,
4% za ćwierćrocznem „
4½% za półrocznem „
za rocznem wypowiedzeniem wedle umowy.

Ma każdego czasu do odstąpienia

hipoteki 5 proc. pierwszomiejscowe.



Leistungsfähigste
Bayerisch. Zugochsen
aller Rassen
wie:
Rote Voigtländer
Böhmische-
Bayreuther-
Hofer-
Simmenthaler-
Miessbacher-
Uebertäurer (Pinzgauer)
u. gelbe Scheinfelder-
Schecken,

Zucht u. Milchvieh
aller Höhen und Niederungsschläge,
wie der:
Simmenthaler,
Schwyzer,
Ostfriesichen,
Oldenburger,
Altmärker,
Wilstermarsch,
Breitenburger
und **Angler Rasse**

sowie 6—24 Monate alte Kälber dieser Rassen empfiehlt franco jeder Bahnstation 1110

Leopold Engelmann, Weiden, Bayern.

Correspondenz deutsch oder französisch erbeten.

„Goniec Wielkopolski"

pismo codzienne dla wszystkich stanów,

od lat 21 stojące wiernie na straży narodowych zasad, służące sprawom ekonomicznym, przemysłowym, handlowym, tudzież sprawom towarzystw naszych, zapoznające czytelników z stosunkami i zdarzeniami we wszystkich dzielnicach Polski, kosztuje

kwartalnie tylko 1 markę

bez odnoszenia, a **1,40 mk.** z odnoszeniem.

„Goniec Wielkopolski" jest zapisany *na poczcie* w spisie: *„Zweiter Nachtrag" 216a.* **W Poznaniu** abonować go można przy placu Wilhelmowskim nr 17 (Drukarnia **J. Fr. Tomaszewskiego**).



W powiatowem mieście **Środzie** jest na sprzedaż 383

kamienica

w ożywionej części miasta, w tejże jest prowadzony od lat czternastu handel towarów w wielkich rozmiarach, także piekarnia, warsztat maszyneryi i kilka pięknych pomieszkań. Kamienica ta razem z innemi zabudowaniami jest do dochodu rocznie na 2670 mk. katastrowo oszacowana, zaś taksa ogniowa 47,800 mr. Cena pożądana 45,000 marek, wpłaty potrzeba 10,000 marek event. i mniej. Łask. oferty upr. pod lit. **W. S. 383** do Eksped. „Pracy" w Poznaniu.

Zabezpieczenie bydła

poszukuje od zaraz zdolnych inspektorów i agentów. Oferty do **Subdyrekcyi, Berlin,** Halleschestr. 4. 380

Jest na sprzedaż

dworek

z dwoma domami, z chlewem, sad z dużem drzewem owocowem, 2 morgi dobrej roli, ogród z łączką za gotówkę 5000 marek.

Zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy" pod lit. **C. N. 386**.

Wielką bibliotekę

posiadać może każdy, kto abonować będzie stale kwartalnie za 50 fen. „Czytelnię Polską“ zapisaną na poczcie w rubryce: Nachtrag 5 t. 13a.
Kwartalnie 13 zeszytów, rocznie 52 zeszyty, czyli 80 arkuszy (arkusz 16 stron) wielkiego formatu książkowego.

Zarys dziejów Polski porozbiorowej

z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej, wydanie drugie znacznie pomnożone, **52 obrazami sławnych Polaków, wodzów i bitew oraz 4 mapkami ozdobione**, poleca 197

Księgarnia Polska (W. Tempłowicz)

Poznań, Hotel francuzki.

Cena m. 1,80, z przesyłką 2 m. Za nadesłaniem należytości posyłka odwr. pocztą.

Do prania w wodzie źródlanej (twardej) jest bezwarunkowo najodpowiedniejsze

mydło
terpentynowo-salmiakowe

z poznańskiej parowej fabryki mydła

Ludwika Ascha w Starołęce,

które jest zarazem w użyciu najoszczędniejszem. Każdy kawałek nosi zupełne znamię fabryki, na co przy kupnie uważać trzeba. 994

„Levana“
państw. konces.
Zakład naukowy i wychowawczy
w Kötitz-Coswig i S.
pod Droznem.

Przygotowywania w oddziałach i pojedyńczo do wszystkich klas wyższych zakładów naukowych!
Osobne kursa dla jednorocznych i podchorążych!
Wydziały specyalne dla:
a) słabopojmujących i niezdolnych do uzysk. promocyi uczniów.
b) umysłowo zacofanych, ale jeszcze zdolnych do wykształcenia chłopców. 157
Szybkie i pewne skutki! Jednostkowe wychowanie!
Najsurowszy porządek domowy! Znakomita pensya!
Przyjęcie każdego czasu. — Prospekta wysyła Dyrekcya.

Pługi parowe

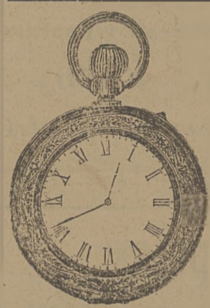
budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od
28,000 marek.
806
Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek
budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach.

John Fowler & Co. Magdeburg.

Stefan Chociszewski
skład cygar
Poznań, Wrocławska ul. 29

poleca dobrze odleżałe wyborne i lekko palące się **cygara.** Szczególnie polecam następujące dobre gatunki: 280

Liberty	100	sztuk	10 mr.
Caritas (miłosławskie)	100	sztuk	7 „
Chińskie warkocze	100	sztuk	6 „
Marta	100	sztuk	3 „



Gratis i franko wysełam illustr. cenniki wszystkim tym, którzy mają zamiar zaopatrzyć się w **zegary, regulatory zegarki** złote i srebrne, **bižuterye** złote w najnowszych fasonach, **alfenidę** i t. d. Ceny nizkie lecz stałe. Usługa rzetelna i skora.

Dybizbański-Huebner,
Poznań, ulica Wiktoryi 10
(przystanek kolei elekrycznej). 285

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr. wysyłka franco.

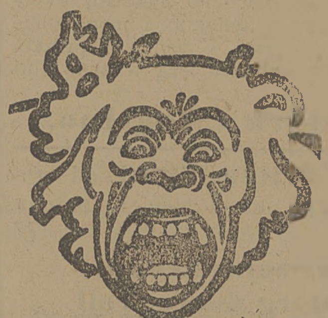
Nowość! Nowość!
15 rozmaitych
kart korespondencyjnych

z widokami zdjętemi z obrazów Jana Matejki w pięknej teczce, która może być ozdobą każdego salonu, poleca

za tylko 1 markę.

Skład papieru i materyałów piśmiennych
„Atlas“
W. Kostrzewski,
Poznań, Stary Rynek nr. 48.

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr wysyłka franco.



ORI

Jeżeli się Pan chce ochronić przed środkami bezskutecznemi, to użyj jako

najpewniejszego środka

przeciw wszelkim dręczycielom bez wyjątku ze świata owadów, jak pchłom, muchom, molom, pluskwom, szwabom, karaluchom mrówkom i t. d. i t. d., cieszącego się kolosalnym odbytem i nadzwyczajnem zaufaniem środka specyalnego **Ori.** Najlepszy i najrzetelniejszy środek przeciw wszelkiemu robactwu, niszczy radykalnie nawet płód, a przytem jest nieszkodliwym pod gwarancyą dla ludzi i zwierząt domowych. **Za tanie pieniądze** nieomylny, w zdumienie wprowadzający skutek. Raz kupiony już zawsze bywa żądany. Tylko prawdziwy i skuteczny w zamkniętych kartonach oryginalnych z flaszką po 30, 60 fen. i 1 mk. — nigdy na wagę. **Wszędzie do nabycia. Miejsca sprzedaży wskazują plakaty.** Nie trzeba pozwolić sobie wmówić, że inny środek jest „tak samo dobry“ i „tak samo skuteczny“. 361

Kupiec, 30 lat mający, katolik, zawiadowca filii fabryki obuwia, ma zamiar 362

ożenić się

jak najprędzej. Reflektuje na katoliczkę po polsku mówiącą, w wieku 20—25 lat, doświadczoną w interesie i posiadającą 3—4000 mk. majątku.

Panie, życzące sobie założyć przyjemne ognisko domowe, zechcą swe fotografie z bliższemi szczegółami z zaufaniem nadesłać pod lit. **F. 362** do ekspedycyi „Pracy.“